

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 50 (1414) 13 GRUDNIA 1987 R. CENA 20 ZŁ

ISSN 0137-8287

INDEKS 47977

W NUMERZE:

„Gotujcie drogę Panu” ● „Ale nas zbaw ode złego” ● Z życia naszego Kościoła ● Trzej wileńscy męczennicy ● Gabriel Narutowicz ● W 100 rocznicę śmierci J. I. Kraszewskiego ● Porady



Idą już

święta...

Spokój i cisza
niczym niezmqcona,
spękaną mrozem ziemię
pokrył śnieg.
Szron zastygł w wierzbach
na polnych zagonach,
idą już święta...
kolęd śpiew.

Bóg się narodzi...
Lecz czy w twoim sercu
znajdzie się miejsce
na narodzin cud?
Bo nie tradycję,
lecz miłość serdeczną
dajemy Temu,
co ukochał lud.

MAŁGORZATA KĄPIŃSKA

LEKCJA

z Listu
św. Pawła Apostoła
do Filipian
(4,4-7)

Bracia: Weselcie się w Panu zawsze, mówię powtórnie: Weselcie się. Skromność wasza niech będzie znana wszystkim ludziom. Pan blisko jest. Nie troszczcie się o nic, ale potrzeby wasze Bogu wyjawiajcie w każdej modlitwie i dziękczynnej prośbie. A pókój Boży, który przewyższa wszelkie pojęcie, niechaj strzeże serc waszych i umysłów waszych w Chrystusie Jezusie Panu naszym.

EWANGELIA

według
św. Jana (1,9-28)

Onego czasu: Żydzi z Jeruzolimy wysłali do niego kapłanów i lewitów, aby go zapytali: Kim jesteś? I wyznał, a nie zaprzeczył, oświadczając im: Jam nie jest Chrystus. Zapytali go tedy: Cóż więc? Jesteś ty Eliaszem? I odrzekł: Nie jestem. Jesteś ty prorokiem? I odpowiedział: Nie. Rzekli mu tedy: Kim jesteś, abyśmy mogli odpowiedź dać tym, którzy nas wysłali. Cóż powiadasz sam o sobie? I rzekł: Jam głos tego, który woła na pustkowiu: Drogę prostujcie Panu, jako mówił Izajasz prorok. A wysłańcy byli z faryzeuszów. I pytając go mówili: Czemuż tedy chrzczisz, jeśli nie jesteś Chrystusem, ani Eliaszem, ani prorokiem? Odpowiedział im Jan, mówiąc: Ja chrzczę wodą, ale pośród was stanął Ten, którego wy nie znacie. To Ten, który przyjdzie po mnie, a stał się przede mną, któremu nie jestem godzin rozwiązać rzemyska u sandałów Jego. To się działo w Betanii za Jordaniem, gdzie Jan chrzczył.

Czas Adwentu ustanowiony przez Kościół katolicki na pamiątkę tysiącleci oczekiwania na przyjście Mesjasza, przekroczył swój półmetek. Dziś trzecia, przedostatnia niedziela tego okresu. Adwent, jak już rozważaliśmy w poprzednich homiliach, jest nie tylko pomnikiem tego, co minęło, wspomnieniem smutnych, zamierzonych czasów, w których panoszyło się zło. Adwent ma być dla nas czasem wzmożonego wysiłku religijnego, przez który przygotować się mamy na spotkanie z tym samym Mesjaszem, który już raz zjawił się na ziemi w ludzkiej postaci i dokonał dzieła zbawienia.

Zbawiciel zapowiedział swój powrót „z mocą i majestatem” w dzień sądu przy końcu świata. Wówczas przyjdzie On rozliczyć odkupioną ludzkość z darów nadprzyrodzonych, wysłużonych przez mękę i śmierć Zbawiciela. Czas przyjścia znany jest tylko Bogu. My nie wiemy kiedy nastąpi to przyjście. Biblia chwali mądre panny, które czuwały, by nie przegapić przybycia obłubieńca. Mamy się na nich wzorować. Adwent jest czasem ćwiczeń w tym czuwaniu. Może ktoś powiedzieć, że minie jeszcze bardzo wiele lat zanim Chrystus zrealizuje swoją zapowiedź. Możliwe. Ale to nas absolutnie nie zwalnia od adwentowej mobilizacji.

sem, postanowiliśmy nie tylko Adwent przeznaczyć na rozpoznanie woli Boga. Przewodnikiem w tym dziele jest z naszego wyboru Ewangelista Marek, który w pierwszym rozdziale swojej Ewangelii stawia nam przed oczy wytrawnego pedagoga w tej materii św. Jana Chrzciciela — ostatniego z wielkich proroków mesjańskich i bezpośredniego herolda Chrystusowego. Św. Jan słowem i życiem wskazał jak trzeba przygotować się na powitanie Zbawiciela.

Jak już pisaliśmy przed tygodniem, św. Marek nic nie mówi o dzieciństwie Jezusa i św. Jana Chrzciciela. Jan Chrzciciel pojawia się w opisie Marka dopiero w chwili, gdy już cała Ziemia święta słyszała o nim i akceptowała naukę proroka wołającego: „Przygotujcie drogę Panu, prostujcie Mu ścieżki”. Zaraz też św. Marek wyjaśnia tajemnicę powodzenia ostatniego z proroków: „Jan miał odzienie z sierści wielbłądziej i pas skórzany na biodrach, a żywił się szarańczą i miodem leśnym”.

Pełen wyrzeczeń styl życia św. Jana Chrzciciela, to pierwszy atut w rękach proroka. Wielu głosi potrzebę postu, umartwienia, ale bywają to dobre rady dla innych. Sami głosiciele nie przestrzegają tych rad. Wachlarz atrakcji jakie ofe-

„Gotujcie drogę Panu”

Uroczyste przyjście, zapowiedziane na koniec czasów, będzie w zasadzie tylko podsumowaniem niezliczonych powrotów Chrystusa na świat w sferze nadprzyrodzonej. Powrotów Zbawiciela do ludzkich serc. Chrystus ciągle odchodzi lub wraca w sposób mistyczny, tajemniczy, w zależności od naszego zainteresowania Jego Osobą. Najlepiej byłoby, gdybyśmy mogli zapewnić Mu takie warunki w naszych sercach, by tam mógł żyć nieustannie „Żyję ja, już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus” — wołał Apostoł Paweł. Mamy dążyć nieustannie do tego, byśmy mogli szczerym sercem powtórzyć słowa Apostoła Narodów. Taka była intencja Kościoła wprowadzającego Adwent.

Narodziny Boga w stajence, powtarzane w czasie Świąt, uzmysłowiają nawet małym dzieciom pragnienie Zbawiciela: być z ludźmi. „Gdzie dwóch albo trzech zgromadzi się w Imię moje, i Ja jestem między nimi”. Ale Jezus nikomu nie narzuca swojej obecności. Nie chce również siłą narzucić swoich praw. Chce być nie tylko oczekiwanym, ale przede wszystkim upragnionym Gościem. Z mocą natury przyjdzie dopiero w godzinę śmierci. W potęgę natury i nadnatury zjawi się na sąd. Tylko w tych dwóch wypadkach Bóg korzysta ze swoich praw w sposób bezwzględny wobec człowieka. W każdym innym momencie cierpliwie czeka na zaproszenie i oznaki naszej tęsknoty za Nim. Słowa nie wystarczą, stąd wyrzut Jezusa: „Ten lud czci mnie tylko wargami, lecz serce jego dalekie jest dla mnie”.

Abym tego typu przykre słowa nie musiał Zbawiciel kierować pod naszym adre-

ruje nam dziś cywilizacja jest ogromny. Jeśli potrafimy z niektórych zrezygnować, z intencją ćwiczenia charakteru i z myślą, by te rzeczy nie stały na drodze Zbawiciela do naszego serca, to już staniemy się naśladowcami Jana Chrzciciela, bez przywdziewania szorstkiej szaty i podejmowania głodówki. Skromniejszy stół okaże się również zbawienny dla naszego fizycznego zdrowia.

Drugim atutem św. Jana Chrzciciela był „chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów”. Człowiek czuje potrzebę oczyszczenia sumienia z grzechów. Potrzeba ta jest tym większa, im lepiej sobie uświadamiamy naszą moralną nędzę. Jan Chrzciciel używał wody jako symbolu — woda zmywa brud ciała, natomiast pokuta zmywa brud ducha. Korzystajmy często z pokuty sakramentalnej, ponieważ gdy zniknie z serca grzech, Jezus przyjdzie i pozostanie z nami.

Ks. A.B.

SZANOWNI CZYTELNICY!

Redakcja „Rodziny” pragnie serdecznie przeprosić wszystkich Czytelników za opóźnienia w ukazywaniu się naszego tygodnika, które wynikają nie z winy Redakcji, lecz z ogromnych trudności poligraficznych.

UWAGA — CZYTELNICY!

Uprzejmie informujemy, że następny numer „Rodziny” (nr 51—52) ukaże się w podwójnej objętości z datą 20—27 grudnia 1987 r. Cena podwójnego numeru — 40 zł.

Redakcja



Po prośbie o charakterze negatywnym (były nią słowa: „I nie wódz nas na pokuszenie...”), kończy się Modlitwa Pańska błaganiem o aspekcie pozytywnym; wypowiadamy bowiem słowa: „Ale nas zbaw ode złego”. Zatem do prośby o zachowanie nas od pokus dodajmy jeszcze inną o charakterze ogólniejszym, modląc się o wolność, o ochronę od wszelkiego zła. Wyraz „ale” nie oznacza tutaj jednak przeciwieństwa, lecz jest raczej uzupełnieniem prośby poprzedniej. Uwzględniając zatem tę uwagę, należałoby ostatni wiersz wspomnianej modlitwy odczytać: „Nie tylko (nie wprowadzaj nas w pokusę), lecz także (wybaw nas od złego)”.

Określenie „zbaw” pojawia się w księgach starotestamentowych zwykle tam, gdzie chodzi o ingerencję Boga w ostatnim momencie, a więc w najbardziej krytycznej chwili. Świadczą o tym chociażby słowa Psalmisty: „Bo (Imię Twoje, Panie) z wszelkiej niedoli mnie wyratowało, tak że oko moje spoglądało z wysoka na nieprzyjaciół moich” (Ps 54,9). Taki sam sens ma to wyrażenie w księgach Nowego Testamentu. Daje temu wyraz Apostoł, gdy pisze: „Który z tak wielkiego niebezpieczeństwa śmierci nas wyrwał i wyrwie; w nim też nadzieję pokładamy, że nadal będzie nas wyrwał” (2 Kor 1,10).

Niektórzy egzegeci dzielą Modlitwę Pańską nie na siedem, lecz tylko na sześć prośb. Twierdzą oni bowiem, że prośba ostatnia jest niczym innym, jak tylko rozwinięciem prośby szóstej. Wyraża zatem to samo, tylko w formie pozytywnej. Twierdzą bowiem, że bez prośby ukazującej nam Boga jako wybawiciela od wszelkiego zła, szósta prośba byłaby czymś niepełnym.

Jednak połączenie dwóch ostatnich prośb w jedną, niekoniecznie uważać należy za słuszne. Bowiem „zło” od którego mamy być przez Boga wybawieni (zbawieni), posiada znacznie szerszy zakres, aniżeli pokusa (pokuszenie), o której była mowa w prośbie szóstej. Ponadto określenie zbawić (wybawić) wyraża znacznie obszerniejszą czynność, aniżeli „nie wodzić”, „nie wprowadzać w pokusę”. Dlatego należy przyznać słuszność św. Cyprianowi, który pisze: „Pod koniec Modlitwy Pańskiej znajduje się zakończenie zamykające wszystkie nasze prośby. Mówimy bowiem: „Ale nas zbaw ode złego” — ujmując przez to wszystkie przeciwności, jakie na szkodę naszą obmyśla na tym świecie nieprzyjaciel. Można się

przed nimi uchronić, jeśli Bóg proszącym Go da swą pomoc. Jakaż więc może być obawa przed szatanem i światem dla tego, któremu Bóg jest opiekunem?”

Do takiego tłumaczenia upoważnia nas również liturgia mszalna. Kiedy bowiem wraz z ludem odmówił celebrans modlitwę „Ojcze nasz”, a w niej prośbę: „Ale nas zbaw ode złego” każe mu Kościół raz jeszcze powrócić do tej prośby i modlić się dalej słowy: „Wybaw nas, prosimy Cię, Panie, od wszelkich nieszczęść przeszłych, teraźniejszych i przyszłych... abyśmy wsparci pomocą miłosierdzia Twego od grzechu byli zawsze wolni i od wszelkiego niepokoju bezpieczni. Zatem zło w tej prośbie obejmuje wszelką jego formę.

W ewangelii Mateusza wyraz „złe” oznacza zło człowieka. Ewangelista ten pisze bowiem: „Nie sprzeciwiajcie się złemu, a jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi” (Mt 5,39). Nieco zaś dalej dodaje: „Słońce jego wschodzi nad złymi i dobrymi i deszcz pada na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mt 5,45). Oznacza również i to, co jest w człowieku złe. Świadczą o tym słowa Chrystusa wypowiedziane podczas kazania na górze: „Jeśli oko twoje było chore, całe ciało twoje będzie ciemne. Jeśli tedy światło, które jest w tobie, jest ciemnością, sama ciemność jakaż będzie!” (Mt 6,23). Temu samemu dają wyraz słowa Zbawiciela z przypowieści o robotnikach w winnicy: „Czy oko twoje jest zawistne dlatego, iż ja jestem dobry?” (Mt 20,15).

Nie od rzeczy będzie może dodać, że w łacińskich tłumaczeniach ewangelii Mateusza, na końcu Modlitwy Pańskiej znajduje się wyraz: „Amen”. Był to dodatek liturgiczny, który z czasem przeszedł do tekstu wspomnianej modlitwy. Bowiem, gdy podczas liturgii mszalnej modlitwę „Ojcze nasz...” odmawiał tylko kapłan, zgromadzony w świątyni lud — przyłączając się do jego prośb — kończył ją hebrajskim zawołaniem: „Amen” = „Zaprawdę, niech się tak stanie!” Św. Hieronim nazywa to zakończenie „pieczęcią Modlitwy Pańskiej”. Powtarzając bowiem to słowo, prosili o urzeczywistnienie wszystkich prośb zawartych w tej modlitwie. W odnowionej liturgii mszalnej (gdzie jak wiadomo, Modlitwę Pańską odmawia kapłan wraz z całym ludem) wrócono do pierwotnego tekstu tej modlitwy; już bez dodawania słowa „Amen”.

Czuję się również zobowiązany przypomnieć, że w wielu najstarszych tekstach (koksach) Ewangelii do Modlitwy Pańskiej dodawana jest tzw. „doksologia”: „Albowiem Twoje jest Królestwo, potęga i chwała na wieki wieków”. Jest ona również dodatkiem liturgicznym. W Kościele pierwszych wieków było bowiem w zwyczaju dodawanie doksologii przy końcu modlitwy lub kazania. Zwyczaj ten pochodzi może od apostoła Pawła, który czasem dodaje ją do swych wypowiedzi. Tak jest w liście do Rzymian, na którego końcu czytamy: „Bogu, który jest jedynie mądry, niech będzie chwa-

„Ale nas zbaw od złego”

Niektórzy jednak bibliści wyrażenie „ode złego” biorą w znaczeniu osobowym i odnoszą je do uosobienia wszelkiego zła, a więc do złego ducha, czyli szatana. Gdyby tak było, wówczas w siódmej prośbie prosilibyśmy tylko o zachowanie, względnie uwolnienie nas od napaści i pokus złego ducha. Innymi słowy prosilibyśmy, byśmy nie ulegali pokusom. Wówczas jednak prośba siódma łączyłaby się ze słowami: I nie wódz nas na pokuszenie. Zaś Zbawiciel mówiąc o pokusie, jako na szczególnego jej sprawcę wskazywałby szatana. Sprawcą zła, jakie na ludzi przychodzi — jeśli weźmiemy zło w jego pierwotnym źródle, jakim był pierwszy upadek człowieka spowodowany pokusą — jest bardzo często szatan.

Jednak w ostatniej prośbie Modlitwy Pańskiej jest mowa o szatanie tylko ubocznie. Bowiem ani samo określenie „złe”, ani związek zdań nie wskazuje na niego. Syn Boży bowiem tylko jeden raz daje szatanowi nazwę „zły”, mówiąc w przypowieści o kaku: „Przychodzi zły i porywa to, co zasiano w... sercu” (Mt 13,19). Jednak we wszystkich innych wypadkach nazywa zło ducha mianem jemu właściwym. A skoro wykluczmy tłumaczenie „ode złego” jako od szatana, upada również przypuszczenie, jakoby siódma prośba była tylko słowną modyfikacją tego, o co błagaliśmy Ojca niebieskiego w prośbie szóstej.

Ponadto — o czym pamiętać należy — jest rzeczą mało prawdopodobną, by Syn Boży w modlitwie tak krótkiej i zwięzłej, jak „Ojcze nasz...”, a jednak tak bogatej treścią, miał się powtarzać i wyrażać w innych słowach to, co powiedział poprzednio. Zatem modlitwa, której nauczył nas Chrystus liczy nie sześć, lecz siedem prośb. Siódma prośba zawiera też bardziej obszerną treść, niż prośba ją poprzedzająca. W ogólnym przekonaniu, powtarzając słowa „ale nas zbaw ode złego” prosimy, by Ojciec wszystkich ludzi uchronił nas od wszelkich nieszczęść podczas naszej doczesnej wędrówki. Prośba ta zawiera jednak również gorące i ogólne pragnienie owoców odkupienia mesjańskiego, w jak najszerszym zakresie.

ła na wieki wieków przez Jezusa Chrystusa. Amen” (Rz 16,27). Doksologia dołączona do Modlitwy Pańskiej jest jakby umotywowaniem naszych prośb przedstawionych Ojcu niebieskiemu. Bowiem do tekstu modlitwy, której nauczył nas Pan, dodajemy niejako: „Ty możesz to dać i sprawić, ponieważ Twoje jest Królestwo, Twoją jest moc i chwała”.

Modlitwa Pańska jest jednym z najdroższych skarbów, jakie swym ziemskim braciom w spuściznie zostawił Syn Boży. Stała się ona wspólnym dobrem wszystkich bez wyjątku chrześcijan. Toteż nie ma takiej społeczności chrześcijańskiej, która — przyjmując Chrystusową „dobrą nowinę” — odrzucała by Modlitwę Pańską. Modlitwa ta bowiem nie dotyka niczyich przekonań religijnych, zaś pojęcie Kościoła zamyka się w niej w szerokim pojęciu Królestwa Ojca niebieskiego. Natomiast jak żadna inna modlitwa łączy ona wszystkich wyznawców Chrystusa przypominając im, że mają jednego, wspólnego Ojca w niebie.

Jeżeli — jak to obrazowo przedstawia św. Bonawentura — każdą dobrą modlitwę zanoszą aniołowie przed tron Boga, to cóż dopiero mówić o Modlitwie Pańskiej, której to modlitwy nauczył nas sam Syn Boży. Zatem dla każdego człowieka, który z dobrą wolą, szczerze i pobożnie odmawia „Ojcze nasz...” — modlitwa ta nie pozostanie bezowocna.

Wiadomo również powszechnie, że jest wołaniem Ojca niebieskiego „aby wszyscy ludzie byli zbawieni” (1 Tym 2,4). A jako jeden ze środków zbawienia podał nam Ojciec tę modlitwę przez Syna swego, który powiedział o sobie: „Nic nie czynię sam z siebie, lecz tak mówię, jak mnie mój Ojciec nauczył” (J 8,28b).

Niechże więc słowa Modlitwy towarzyszą nam przez całe nasze życie. Niech też będą ostatnimi naszymi słowami, kiedyś na łożu śmierci, tak jak były pierwszą modlitwą naszą, której nauczyła nas matka.

Z życia naszego Kościoła

Uroczystość w parafii polskokatolickiej pw. Świętego Kazimierza w Poznaniu

Dzień 6 września 1987 roku na długo pozostanie w pamięci wiernych skupionych wokół parafii polskokatolickiej pw. Sw. Kazimierza. Był to bowiem dzień, w którym proboszcz tej parafii, ksiądz dziekan Roman Skrzypczak został uroczystie mianowany infułatem.

W dniu tym, przypadającym w pierwszą niedzielę września do poznańskiej świątyni przybył bardzo serdecznie witany przez Radę Parafialną, Towarzystwo Adoracji Najświętszego Sakramentu, dzieci, młodzież, ordynariusz diecezji wrocławskiej — biskup Wiesław Skołucki.

W progach zabytkowej świątyni, dostojnego Gościa w asyście księdza dziekana Stanisława Bosego powitał gospodarz parafii oraz prezes Rady Parafialnej, Zenon Pawełekiewicz, który powiedział między innymi:

„W imieniu Rady Parafialnej i całej naszej parafii witam serdecznie Księdza Biskupa w progach naszej świątyni. Niech ta obecność wśród nas Księdza Biskupa i nasze wspólne modlitwy w tak dla nas radosnym dniu, dadzą nam wszystkim pełne zadowolenie, żeśmy godnie spełnili nasz obowiązek wobec Boga i naszego Kościoła”.

Po tym wzniosłym powitaniu przedstawiciele Towarzystwa Adoracji Najświętszego Sakramentu oraz dzieci wręczyli dostojnemu Gościowi bukiety biało-czerwonych goździków i róż.

Podczas uroczystego ingresu Ordynariusza do świątyni, przy dźwiękach hymnu „Oto kapłan wielki” w wykonaniu solisty Opery Poznańskiej Jerzego Anioły, Ksiądz Biskup w asyście duchowieństwa zajął miejsce na specjalnie przygotowanym tronie, natomiast ksiądz dziekan Roman Skrzypczak odmówił modlitwę za biskupów.

W chwilę później, dokonując uroczystego powitania Arcypasterza diecezji wrocławskiej, ksiądz Roman Skrzypczak powiedział:

„Niecodzienna to uroczystość w naszej parafii. Niecodzienna dlatego, że w murach tej szacownej świątyni witamy naszego dostojnego Gościa w osobie księdza biskupa Ordynariusza, Gospodarza naszej diecezji.

Oto lud wierny parafii poznańskiej pragnie dzisiaj w sposób szczególny wyrazić radość z Twojego przyjazdu i złożyć Ci najlepsze życzenia z okazji wyboru na to zaszczytne stanowisko i osiągnięcia pełni władzy kapłańskiej. Diecezja nasza tak wzbogacona stanowi dzisiaj mocny fundament Kościoła Polskokatolickiego.

Twoja praca nie tylko jako ordynariusza, ale również jako duszpasterza na terenie Wrocławia wydała prawdziwy owoc w postaci liczby wiernych i pięknej katedry.

Twój stosunek do nas, duchownych, nacechowany jest braterstwem i ojcowską

wyrozumiałością; każdy z nas widzi w Tobie ojca, który troszczy się o wszystkie sprawy swoich podwładnych.

Obok Ciebie, czcigodny Księżę Biskupie, Gospodarzu naszej diecezji jest także drugi biskup, który po Synodzie Ogólnopolskim osiągnął pełnię kapłaństwa. Z wielkim szacunkiem odnosimy się do naszego Biskupa Sufragana, który obecnie przebywa w Łodzi na zaproszenie tamtejszego księdza dziekana.

Ta niecodzienna uroczystość nie byłaby pełna, gdybym nie wspomniał o jeszcze jednej okoliczności, tej, która nas dzisiaj tutaj zgromadziła.

Otóż na wniosek naszego czcigodnego i kochanego Gościa, Pierwszy Biskup, Tadeusz Ryszard Majewski mianował mnie infułatem. To najwyższe wyróżnienie przyjmuję w pokorze i wyrażam słowa podziękowania najpierw Panu Bogu, za to, że prawie dwadzieścia pięć lat pozwolił mi służyć przy ołtarzu, Biskupowi Ordynariuszowi, że dostrzegł moją pracę oraz Pierwszemu Biskupowi, że dał mi ten zaszczytny tytuł.

Być dzisiaj kapłanem, to niewątpliwie wielki zaszczyt, ale i wielka odpowiedzialność. W pracy naszej nie jesteśmy jednak sami. Obok nas — kapłanów — jest także wierny lud, który stanowi ten żywy Kościół. W ciągu tych wszystkich lat pracy na terenie Poznania, zawsze miałem oparcie w tym wiernym ludzie.

Dzisiaj myśli nasze kierujemy ku sprawom wyższym. Za chwilę rozpocznie się Msza koncelebrowana. Zechciejmy wspólnie przeżyć tę ofiarę, która przybliży nam Chrystusa — Tego, który jest naszą Drogą, Prawdą i Życiem”.

Po przemówieniu i powitaniu wygłoszonym przez proboszcza parafii, rozpoczęła się Msza święta koncelebrowana, podczas której nastąpiła uroczystość poświęcenia infuły i krzyża. Akt — dekret nominacyjny odczytał dziekan szczeciński, który wspólnie z dostojnym Gościem z Wrocławia koncelebrował uroczystą Mszę.

Po Ewangelii Słowo Boże wygłosił bp Wiesław Skołucki. Przekazał on na wstępie pozdrowienia od Pierwszego Biskupa Tadeusza Ryszarda Majewskiego. W swym wystąpieniu Biskup Ordynariusz nawiązał do tematu krzyża, którego doświadcza w swoim życiu każdy biskup, każdy kapłan i każdy wierny.

Ksiądz Biskup złożył też Księdzu Infułatowi serdeczne życzenia, w których złożył mu szczególnej opieki Matki Bożej — Królowej Apostołów.

Wkrótce potem cała wspólnota parafialna przystąpiła do Stołu Pańskiego. Po Komunii świętej wierni składali życzenia Księdzu Infułatowi. Parafianie z wielką radością i łzami w oczach podchodzili do swego proboszcza, który równie wzruszony przyjmował od nich w tym dniu życzenia, kwiaty oraz drobne dowody pa-

mięci. Nade wszystko zaś zapewnienia o dalszej ofiarnej pracy i pomocy w pracy duszpasterskiej.

A oto co powiedział prezes Rady Parafialnej, Zenon Pawełekiewicz:

„Niech dobry Bóg i Matka Najświętsza, której to powierzyłeś swe losy i którą darzysz szczególnym nabożeństwem, do czego także zachęcasz i nas, obdarzy Cię wszelkimi łaskami, zdrowiem i pomyślnością. My zaś będziemy z Tobą, Księżę Infułacie wspólnie pracować i w każdej chwili pomagać Ci, jak umiemy — z sercem. Niech się spełnią wszystkie Twoje życzenia. Niech ta nasza poznańska parafia pod Twoim przewodnictwem, Księżę Infułacie, zakwitnie pełnym blaskiem dla naszego Kościoła Polskokatolickiego. Tego Tobie z całego serca życzy Rada Parafialna wraz z całą naszą wspólnotą”.

Przytoczyłem w całości wystąpienie pana prezesa Zenona Pawełekiewicza, bo świadczy ono, jak wielkim szacunkiem cieszy się wśród parafian ich proboszcz, a od dzisiaj infułat — duszpasterz, który kształtuje ich oblicze jako ludzi głęboko wierzących w Jezusa Chrystusa.

Część liturgiczną poznańskich uroczystości zakończyła pieśń „Cóż Ci, Jezu, damy?”

* * *

Na zakończenie niech wolno mi będzie dodać, iż jako rzecznik prasowy diecezji wrocławskiej czuję się w szczególnym obowiązku informować o tym wszystkim, czym żyje nasza diecezja. Uroczystość, jaka miała miejsce w Poznaniu, a w której brał udział ordynariusz diecezji wrocławskiej, biskup Wiesław Skołucki należy do wydarzeń ze wszech miar zasługujących na uwagę. Dlatego też pisząc o jej przebiegu, starałem się wyjść naprzeciw zainteresowaniom wiernych obu diecezji, jak i całego naszego Kościoła.

Kończąc, chciałbym raz jeszcze podziękować Księdzu Infułatowi, Radzie Parafialnej, Towarzystwu Adoracji Najświętszego Sakramentu, dzieciom, młodzieży, całej wspólnotie parafialnej za staropolską gościnność i serdeczność, jakiej tu doznawaliśmy, Księdzu Infułatowi zaś życzyć zdrowia, pomocy Bożej w jego działalności duszpasterskiej, aby imię Kościoła Polskokatolickiego stało się sławne w starym grodzie Lecha.

Ad multos annos!

Ks. STANISŁAW BOSY

KRAJ

SWIAT

Rok bieżący to rok sześćsetlecia chrztu Litwy, chrztu, którego oficjalny akt nastąpił w roku 1387 i przez który rdzenna Litwa weszła w orbitę chrześcijańskiego Zachodu. W czerwcu br. odbyły się w stolicy Litewskiej SRR, Wilnie, uroczyste obchody jubileuszu litewskiego chrześcijaństwa, które odbiły się u nas w prasie szerokim echem. Jednak wśród licznych publikacji poświęconych jubileuszowi próżno szukalibyśmy takiej, która by polecała uwadze szerokiego kręgu zainteresowanych jeden z istotnych aspektów sprawy, a mianowicie fakt, że jeszcze przed rokiem 1387 chrześcijański Wschód miał także swój udział w procesie kształtowania chrześcijaństwa na Litwie. A jeśli nawet na ten temat pisano — w związku z faktem rozprzestrzeniania się Wielkiego Księstwa Litwy na ziemie etnicznie nie-litewskie, to były to tylko ogólniki.

Trzej wileńscy męczennicy

Zaden z publicystów zabierających głos na temat chrystianizacji Litwy, nie przypominał faktu męczeństwa za wiarę, którego widownią stało się miasto Wilno w 1346 roku, a więc prawie 40 lat przed oficjalnym chrztem kraju. I tego, że bohaterowie tego męczeństwa stali się znanymi w centrum wschodniego chrześcijaństwa — Konstantynopolu i zostali (jeszcze przed rokiem 1374) oficjalnie zaliczeni w poczet świętych.

W czasach panowania Wielkiego Księcia Olgierda prawosławne chrześcijaństwo zdążyło się już stać poważnym konkurentem kultu Perkuna i innych pogańskich bogów i bóstw. Sam Olgierd — syn księżniczki ruskiej, a także żonaty z ruską księżniczką — do tego stopnia okazywał życzliwość prawosławiu, że w roku 1345 pozwolił swojej żonie wznieść w mieście Wilnie tzw. Piątnicę — cerkiew. Większość litewskiej pogańskiej społeczności raczej spokojnie przyjęła fakt powstania chrześcijańskiej świątyni. Niezadowoleni za to byli pogańscy kapłani, którzy zaczęli się obawiać wzrostu wpływów nowej wiary. To ich niezadowolone wzmogło się, gdy kapelanowi Wielkiej Księżnej, Nestorowi, udało się nawrócić na „ruską wiarę” dwu członków drużyny Wielkiego Księcia. Wówczas pogańscy kapłani zażądali przykładnego ukarania odstępców od wiary przodków.

Sytuacja, w jakiej się znalazł Olgierd w wyniku tego żądania była bardzo kłopotliwa. Zawzięcieczając wielkoksiażącą mitrę gorliwemu obrońcy starej religii Kiejstutowi, nie mógł zignorować woli ciągle silnych rzeczników pogaństwa. Zmuszony się poczuł rozkazać, by nawróconych przez Nestora dworzan — o imionach Kumiec i Nieżyło, a po przyjęciu chrztu Jan i Antoni — wtrącono do więzienia. W zamknięciu pozostawali oni cały rok, ale żadnymi perswazjami czy groźbami nie można ich było odwieść od chrześcijaństwa. Więzienie, w którym przebywało dwóch braci stało się miejscem propagandy wyznawanej przez nich prawdy: pod oknami więzienia zbierały się gromady zaciekawionych i współczujących; i wielu poczynano się przekonywać do „ruskiej wiary”. Przerazeni kapłani zwrócili się do Wielkiego Księcia, by podjął zdecydowane kroki w imię obrony religii przodków.

Nie chcąc doprowadzać kapłanów i stronników pogaństwa do skrajnego rozgoryczenia, Olgierd uznał za konieczne poświęcić swoich dawnych ulubieńców. Nowe próby kapłanów, by z braci zrobić znów czcicieli bożków, próby, którym towarzyszyły straszne tortury, okazywały się daremne. W tej sytuacji kapłani zdecydowali, by bracia zginęli tak, jak traceni byli groźni przestępcy. Jan i Antoni powieszani zostali w miejscu kaźni przestępców: w dębowym gaju, na wzgórzu, na skraju miasta Wilna.

dokończenie na str. 7

18 września br. znakomici polscy alpinisci Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer dokonali pierwszego przejścia zachodniej grani szczytu Shisapangma (8013 m), leżącego na terytorium Chińskiej Republiki Ludowej. Jerzy Kukuczka jest drugim w historii alpinizmu człowiekiem, który pokonał wszystkie 14 szczytów liczących ponad 8 tys. metrów. Pierwszym był Austriak, Reinhold Messner.

W ostatnich latach systematycznie maleje udział skupu żyta w ogólnym skupie zbóż. W latach 1982 i 1983 wynosił on jeszcze 57%, w ubiegłym roku obniżył się do 31,5%, a w tym — jak się przewiduje — w planowanym skupie 5200 tys. ton zbóż będzie tylko 1500 tys. ton żyta czyli 29,9%. Zdaniem Ministerstwa Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej taka ilość żyta całkowicie pokrywa zapotrzebowanie na mąkę żytnią, której dostawy w stosunku do całkowitych dostaw mąki wynoszą obecnie 23 do 25 proc.

Wskaźnik wypadków przy pracy na 1000 zatrudnionych zmalał w okresie ostatnich dwudziestu lat dwukrotnie, ale tempo tego spadku trzeba uznać za niezadowalające. Taką opinię sformułowała Rada Ochrony Pracy. Dane statystyczne dotyczące wypadków przy pracy nie są w każdej sytuacji miarodajnym wykładnikiem stanu bhp, ale też faktem jest, że pod tym względem znacznie odlegamy od przeciętnego europejskiego poziomu. Musi więc to budzić uzasadniony niepokój.

Wzrasta liczba kradzieży z włamaniem do mieszkań, a wykrywalność tego typu przestępstw jest niska. Na 10 tego rodzaju przestępstw wykrywane jest 3-4. Pojawiła się potać przestępcy zawodowego, wykwalifikowanego fachowca, który wie kogo i z czego okradać. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest nieodpowiednie zabezpieczenie mieszkań — przy czym chodzi tu nie tylko o zamki, które można otworzyć czymkolwiek, ale także o drzwi i futryny, które może wyważyć dosłownie każdy. Ułatwieniem dla złodziei jest też demonstracyjne nieraz okazywanie swego bogactwa.



Wspaniały prezent „mikołajkowy” dla najmłodszych przygotowało Studio Filmów Rybackich w Bielsku-Białej — premierę filmu pełnometrażowego „Bolek i Lolek na Dzikim Zachodzie”

Artyści brytyjskiej opery Covent Garden zastrajkowali, protestując przeciwko niespełnieniu przez dyrekcję żądań podwyżki płacy i poprawy warunków pracy. Odwołano wiele spektakli.

Za jedno z najważniejszych wydarzeń sezonu uznał włoski dziennik „Corriere della sera” koncert w Mediolanie Orkiestry Kameralnej Opery Krakowskiej pod dyrekcją Ewy Michnik. Orkiestra wykonała utwory barokowe, a koncertowała w ramach wielu międzynarodowych imprez kulturalnych zorganizowanych pod egidą znanego włoskiego dyktatora mody Rocco Barocco.

Od 1 października br. na Florydzie w USA prawnie zezwolono na noszenie ukrytej broni, pod warunkiem otrzymania zezwolenia władz oraz ukończenia odpowiedniego kursu. Jak można się spodziewać oznacza to, że ok. 60 tys. osób wystąpi o takie zezwolenie. Jeden z właścicieli sklepu z bronią w Miami przeprowadził już takie kursy dla ponad 3000 osób.

Węgry i Austria zamierzają wspólnie zorganizować wystawę światową w Budapeszcie i w Wiedniu w 1995 r. Wspólna deklaracja dotycząca tego przedsięwzięcia podpisana została ostatnio w stolicy Węgier na zakończenie oficjalnej wizyty kanclerza Austrii Franza Vranitzky'ego. Na konferencji prasowej w Budapeszcie Franz Vranitzky i premier WRL Karoly Grosz podkreślili, że zamiar organizacji wystawy światowej oceniali jako zdecydowane potwierdzenie współpracy między obu krajami.

W październiku wielki sukces w Londynie odniosła Ewa Demarczyk na występach w Queen Elizabeth Hall, jednej z najbardziej liczących się sal w Europie. Artystka prezentowała spektakl pt. „Pejzaze”.



W dniu 1 sierpnia br., w szpitalu w San Antonio, zmarła Pola Negri czyli Apolonia Chałupiec, pierwsza aktorka filmu polskiego, gwiazda, która zyskała międzynarodową sławę i była jedną z najpopularniejszych aktorek filmu niemeo

Ciało Chrystusa w Grobie

Jezus Chrystus był prawdziwym Człowiekiem, bo stracił życie na krzyżu, a Jego martwe Ciało trzeba było złożyć do mogiły. Nasza dzisiejsza gawęda będzie zarazem zamknięciem prezentacji Krwawej Ofiary Chrystusa Arcykapłana, czyli samej istoty chrześcijańskiej soteriologii. Kolejne chrystologiczne artykuły wiary, które przyjdzie nam niebawem omawiać, będą już radosnym dopełnieniem, czy raczej konsekwencją, Tajemnicy Krzyża.

Doczesne życie Jezusa Chrystusa dobiegło końca. Zmarł na skutek wyczerpania i ran odniesionych w trakcie męki, a szczególnie kaźni krzyża. Zmarł najbardziej hańbiącą śmiercią skazańca, chociaż nikt nie udowodnił Mu żadnej winy. Wrogom Jezusa zdawało się, że usuwają raz na zawsze niewygodnego im Człowieka. Oskarżali Go o bluźnierstwo, które w rzeczywistości było najczystsza prawdą. Jezus nie czynił sam siebie Synem Bożym, lecz był Nim zawsze. Właśnie jako Syn Boga i ziemskiej niewiasty Maryi podjął dobrowoltę mękę i śmierć dla naszego zbawienia, choć mógł przebłagać Boga, bo był Jego Synem. Podjął się złożyć ofiarę z własnego życia z miłości do Ojca niebieskiego i nas, swoich braci.

O obrzędzie pogrzebu Zbawiciela mówią wszystkie Ewange-

lie. Św. Mateusz opowiada, że w chwili, gdy Chrystus umarł, ziemia zadrżała i groby się otworzyły, z których powstało wielu zmarłych, by się ukazywać w ciągu kilku dni w Jerozolimie. Aż trzej synoptyczni Ewangelisci zaznaczają, że w momencie śmierci Jezusa rozdarła się na dwie części zasłona, oddzielająca w świątyni Miejsce Najświętsze — jakby na znak, że Bóg porzucił swoją siedzibę. Na stojących pod krzyżem padł strach. Pilnujący skazańców dowódca straży rzymskiej widząc, co się dzieje, uwierzył i zawołał: Zaiste, ten był Synem Boga! „A kiedy zapadł wieczór, przyszedł bogaty człowiek z Arymatei, imieniem Józef, który też był uczniem Jezusa. Ten udał się do Piłata i poprosił o ciało Jezusa. Wtedy Piłat kazał mu je wydać” — To dalsze słowa relacji św. Mateusza. Józef z Arymatei dekonspirował się! Dopiero po śmierci Mistrza zdobył się na odwagę przyznać, że był Jego uczniem. Pod krzyżem martwego Zbawiciela znalazł się też inny dostojnik żydowski — Nikodem. On kiedyś nocą przemycił zaułkami miasta, by potajemnie spotkać się z Chrystusem. Teraz obaj z Jó-

zefem otwarcie już zajmują się pogrzebem zwłok Nauczyciela. Nim zdejmą ciało Mistrza z krzyża, straż musi stwierdzić urzędowo Jego zgon. „A kiedy podeszli do Jezusa i zobaczyli, że już nie żyje, nie łamali mu gołeni, lecz jeden z żołnierzy przebił Mu bok włócznią. A natychmiast wypłynęła z rany krew i woda. A stało się to, aby się wypełniło Pismo: Kości Jego łamać nie będziecie. A w innym miejscu: Dowiedzą się, kogo przebodli”.

Za kilka godzin zaczynała się Pascha — największe święto żydowskie. Na ten świąteczny dzień nie mogło pozostać bez pochówku żadne ludzkie ciało. To dlatego żołnierze przyspieszyli śmierć współkrzyżowanym z Jezusem łotrom. Orszak pogrzebowy Zbawiciela składał się zaledwie z kilku osób: Józefa i Nikodema, Matki Najświętszej oraz — prawdopodobnie — z trójki niewiast. Pośpiech sprawił, że dokonano tyle najistotniejszych ceremonii. Nikodem przyniósł około stu funtów mirry zmieszanej z aloesem. Wzięli więc ciało Jezusa i owinęli je w płótna razem z wonnościami, stosownie do żydowskich zwy-

czajów pogrzebowych. Blisko zaś miejsca, gdzie Jezus był ukrzyżowany, znajdował się ogród, a w nim nowy grób stanowiący własność Józefa z Arymatei. W grobie nikt jeszcze nie był pochowany. Ten właśnie grób przeznaczył Józef dla Jezusa. Uczeń dla Mistrza. „W nim więc, ze względu na żydowski Dzień Przygotowania pochowali Jezusa”. A zatoczywszy wielkim kamieniem wejście do grobowca, odeszli. Maria Magdalena i druga Maria następnego dnia po szabacie miały przybyć do mogiły i dopełnić niezbędnych namaszczeń, na które obecnie brakło czasu. Wszyscy prawowierni Żydzi musieli bowiem pospieszyć na paschalną wieczerzę, w czasie której spożywano wielkanocnego baranka — symbol ratunku z niewoli egipskiej. Czy w chwili pogrzebu uczestnicy tego smutnego obrzędu uświadomili sobie fakt, że oto składają do grobu Ciało niewinnego Baranka, który przez swoją śmierć dał ratunek całemu rodzajowi ludzkiemu? Czy zdawali sobie sprawę z tego, że biorą udział w zbawczej Ofierze Syna Bożego? Z całą pewnością nie! Byli zbyt wstrząśnięci grozą krzyżowej śmierci. Głębię nadprzyrodzonej tajemnicy zaczęła pojmować dopiero wtedy, gdy stwierdzą cud zmartwychwstania Pana Jezusa. Na razie swemu Mistrzowi ofiarują serca, by w nich odpoczęło Jego umęczone Ciało. My deklarujemy Bogu podobną gotowość. Przecież Jezus umarł za nas.

Ks. A. BIELEC

Trudne pytania

„Nie istnieje nic bardziej obfitującego we uspaniałe rezultaty od sztuki wolności (...) ale nie ma nic trudniejszego niż uczenie się jej (...). Wolność rodzi się zwykle wśród burz, utrwała się z trudem wśród waśni, a swe dobrodziejstwa pozwala oceniać dopiero wtedy, gdy się zestarzeje”.

A. de Tocqueville

Jeśli w społeczeństwie przymus stosowany przez jednych wobec drugich jest ograniczony tak dalece, jak tylko jest to możliwe, to wówczas taką sytuację można nazwać wolnością. Oczywiście można by te rozważania rozpocząć od przedstawięcia definicji słowa „wolność”, uważamy jednak, że lepiej przybliżymy problem, jeśli określimy okoliczności, w jakich używamy tego słowa.

Analizując historię pod tym względem, wkraczamy w obszar podzielony na wolność i brak wolności. Wolność tych, którzy byli wolni często była różna, lecz tylko co do stopnia niezależności, której niewolnik nie posiadał wcale. Wolność oznaczała zawsze, że ktoś mógł działać zgodnie z własnymi decyzjami, w przeciwieństwie do innych ludzi, którzy podlegali całkowicie woli drugiego człowieka. „Niezależność od woli innego” — to

WOLNOŚĆ

najstarsze, używane potocznie znaczenie słowa „wolność”.

To znaczenie — w odróżnieniu od definicji filozofów, które niekiedy wprowadzają duże zamieszanie — jest jasne. Wprawdzie w pewnych kontekstach może być usprawiedliwione mówienie o różnych rodzajach wolności („wolność od”, „wolność do”) — to jednak w przyjętym sensie „wolność” jest jedna (może się różnić tylko stopniem). W tym sensie „wolność” odnosi się tylko do stosunków między ludźmi, a jedynym jej ograniczeniem jest przymus stosowany przez ludzi. Wydaje się, że większość ludzi potrafi dostatecznie jasno uchwytać to podstawowe znaczenie słowa „wolność”.

Rozważania na temat wolności wywołują wiele pytań: jak wiele możliwości działania — tak naprawdę — stoi przed człowiekiem; jak dalece w swym działaniu możemy kierować się własnymi planami; do jakiego stopnia sposób naszego zachowania się wynika z naszych dążeń, a nie z przystosowania się do warunków stworzonych przez innych w celu skłonienia nas do zrobienia tego, czego oni właśnie

chcą. Zastanawiając się nad tymi pytaniami, dochodzimy do wniosku, że wolność człowieka nie zależy od możliwości wyboru, ale od tego, czy może on mieć szansę określenia własnego kierunku działania, zgodnie z własnymi przekonaniem i zamiarami. A więc wolność oznacza, że istnieje pewna sfera prywatności, w którą inni nie mogą ingerować.

Innym znaczeniem słowa „wolność” jest tzw. wolność „wewnętrzna”, która określa, w jakiej mierze kierujemy się w swoich działaniach raczej własną wolą, rozumem, niż chwilowym impulsem albo okolicznościami. Przeciwnością wolności wewnętrznej nie jest przymus ze strony innych, lecz wpływ przejściowych emocji albo naszej słabości moralnej i intelektualnej. Jeśli komuś nie uda się osiągnąć tego, co po zastanowieniu zdecydował się zrobić, jeśli w decydującym momencie jego zamiary zmieniają się albo opuszczają go siły i nie jest w stanie zrobić tego, co chciał zrobić, możemy powiedzieć, że ten ktoś jest „niewolny”. Czasem także używamy tych określeń, kiedy stwierdzamy, że niewiedza albo przesady uniemożliwiają ludziom zrobienie tego, co zrobiliby, gdyby byli lepiej poinformowani. Dlatego nieraz mówimy, że „wiedza czyni wolnym”.

Należy także zwrócić uwagę na jeszcze inny aspekt wolności. Między tym, czy jestem panem

siebie i mogę kierować się własnym wyborem, czy nie, a tym, czy możliwości, pośród których muszę wybierać, jest wiele, czy nie — istnieje zasadnicza różnica. Dworzani, który żył w luksusie, ale zawsze był gotów na każde skinięcie swego księcia, mógł być o wiele mniej wolny, niż ubogi wieśniak. Podobnie generał stojący na czele armii albo dyrektor wielkiej budowy może rozporządzać wielkimi możliwościami, a jednak może być mniej wolny, bardziej podporządkowany koniecznościom zaniechania wszystkich swych zamiarów i planów na wezwanie przełożonego, może mieć mniej możliwości zmiany swego życia, bo decydowania o tym, co jest dla niego najważniejsze, niż najbiedniejszy człowiek.

Niestety zdarza się, że nie cenimy naszej wolności, nie dostrzegamy, że jest ona wielkim naszym dobrodziejstwem, gotowi jesteśmy z niej zrezygnować dla zyskania innych korzyści. A przecież Bóg stworzył człowieka jako istotę rozumną i wolną. Bóg dał nam „wolność dzieci Bożych”. „Albowiem wszyscy ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Bożymi. Nie otrzymaliście przecież ducha niewoli, by się znówu pogrążyć w bojaźni, ale otrzymaliście Ducha przybrania za synów, w którym możemy wołać: Abba, Ojcze! Sam Duch wspiera swym świadectwem naszego ducha, że jesteśmy dziećmi Bożymi” (Rz 8,14—16).

Trzej wileńscy męczennicy

dokończenie ze str. 5

Miało to się stać dnia 14 kwietnia 1346 roku. Jakiś czas potem — wedle tradycji dnia 14 grudnia — w tym samym miejscu doszło do powieszenia trzeciego jeszcze dworzanina księcia Olgierda, który także przeszedł na chrześcijaństwo i innych przekonywał do chrześcijańsko-prawosławnej wiary. Przyjął on na chrzcie imię Eustachy.

W rok po męczeństwie Jana, Antoniego i Eustachego zmarła pierwsza żona Olgierda Maria Jarosławna. Śmierć jej dała powód do ożywienia się w kraju żywiołów pogańskich i przejściowego tryumfu zwolenników pogaństwa na dworze wielkoksiążęcym. Tryumf ten nie trwał jednak długo. W 1349 roku Olgierd ożenił się z córką księcia Tweru Aleksandra Michajłowicza i wileński dwór Wielkiej Księżnej stał się ostoją prawosławnego chrześcijaństwa. Prawosławni chrześcijanie — korzystający z opieki nowej księżnej — uprosili Olgierda, by oddał im do dyspozycji wzgórze, na którym zginęli męczennicy Jan, Antoni i Eustachy. Tę prośbę Olgierd spełnił tym chętniej, że poganie stronili od tego wzgórza jako miejsca nieczystego. Odtąd chrześcijanie poczuli zbierać się w tym miejscu na modlitwy. A następnie, nie bez pomocy ze strony Wielkiej Księżnej, na tymże miejscu zbudowana została drewniana cerkiew pod wezwaniem Świętej Trójcy. Wedle podania ołtarz tej cerkwi usytuowany został w tym akurat miejscu, gdzie stał dąb, w którym — za wyznawanie wiary w Świętą Trójcę — zawisli Jan, Antoni i Eustachy. W cerkwi umieszczono ich ciała.

Cerkiew Świętej Trójcy istnieje w Wilnie do dzisiaj, ale od dawna przestała być miejscem przechowywania relikwii trzech męczenników za prawosławną wiarę. W roku 1655, gdy Wilno zajęły wojska cara moskiewskiego Aleksego Michajłowicza, wileńscy wyznawcy prawosławia skorzystali z okazji i zabrali relikwie świętych męczenników z zajmowanej wówczas przez unitów cerkwi Świętej Trójcy, przenosząc je do monasteru Świętego Ducha. Uroczysty akt udostępnienia relikwii do powszechnego kultu nastąpił w 1826 roku, a w 1850

roku staraniem prawosławnego metropolity wileńskiego Józefa Siemaszki w dolnej kondygnacji tegoż monasteru Świętego Ducha urządzona została litewskim męczennikom osobna kaplica. W niej, w połączonym sarkofagu z brązu, relikwie pozostają złożone do dzisiaj. Cerkiew Prawosławna od najdawniejszych czasów obchodzi pamiętkę liturgiczną męczenników w dniu 14 kwietnia. Oprócz tego w dzisiejszym Wilnie dla mnichów monasteru św. Ducha dniem pamięci o Janie, Antonim i Eustachym jest dzień 26 lipca nowego stylu. W tym dniu, w 1946 roku, wróciły do monasteru wywiezione w związku z wydarzeniami wojennymi ich relikwie.

Czy tradycję o św. Janie, Antonim i Eustachym i ich męczeńskiej śmierci uznać wypada za wiarygodną? Otóż niektórzy katoliccy badacze wystąpili w swoim czasie z twierdzeniem, jakoby trzej litewscy prawosławni męczennicy byli postaciami legendarnymi i jakoby ich kult wyłonił się dopiero w XVI wieku, i to nie w Wielkim Księstwie Litewskim, a w Moskwie. Jednakże wszystkie te próby zakwestionowania tradycji o trzech męczennikach nie wytrzymują w świetle najnowszych badań krytyki. Zainteresowanych odsyłamy do wydanej w 1981 r. w Halle pracy J. Meyendorffa pt. „The Three Lithuanian Martyrs. Byzantium and Lithuania in the XIV-th century” oraz rozprawy profesora Leningradzkiej Akademii Duchownej Dymitra P. Ogickiego, które ukazały się na łamach wydawanych przez Moskiewski Patriarchat „Bogostowskich Trudov”.

Istnieją niezbite świadectwa bardzo wczesnie rozwiniętego na Rusi i w Bizancjum kultu trzech wileńskich męczenników za prawosławną wiarę. Pierwszego świadectwa dostarcza nam aktualnie przechowywana w zbiorach kremlowskiej, będąca dziełem bizańskich mistrzów szata pontyfikalna metropolity moskiewskiego Fotiosa. Obok scen z Ewangelią i wizerunków różnych świętych, na szacie tej m.in. wyhaftowano scenę męczeństwa trzech Litwinów. Nie brak przy tej scenie uszkodzonego, ale dającego

się jednak odczytać podpisu: „Ho hāgion Ioannes, ho hāgios Eustathios, ho hāgios Antonios”.

Ponieważ wiemy, że metropolita Fotios urzędował w latach 1410—1431, pewne jest, że już w tych latach Jan, Antoni i Eustachy czczeni byli jako święci. A ustalono, że szata pochodziła z 1414—17.

Drugi przekaz poświadczający fakt wczesnego rozprzestrzenienia się kultu litewskich męczenników, to liturgiczne officjum ku ich czci, jakie znajdujemy w księdze liturgicznej ongiś należącej do monasteru w Słucku, a obecnie stanowiącej własność Biblioteki Litewskiej Akademii Nauk. Tekst tego officjum jest tekstem cerkiewnosłowiańskim, ale z całą pewnością mamy tutaj do czynienia z przekładem tekstu pierwotnie zredagowanego w języku greckim, powstałym w Konstantynopolu.

I wreszcie trzeci, jakże wymowny pomnik oddawanego kultu trzem wileńskim męczennikom, pochodzący z Konstantynopola i zachowany do naszych czasów w oryginale greckim panegyryku ku ich czci. Panegyryk ten wyszedł spod pióra prezbitera Michała Balsamona i odnajdujemy go w rękopiśmie przechowywanym w bibliotece jednego z monasterów góry Athos. Balsamon był w latach 1390—94 rektorem przy konstantynopolskiej Hagia Sophia i ponad wszelką wątpliwość właśnie w tych latach skomponował swój tekst sławiący Jana, Antoniego i Eustachego.

Tak więc jesteśmy w posiadaniu absolutnie pewnych danych, by przyjąć, że dla bizantyńskich autorów omówionych powyżej dwu dokumentów liturgicznych officjum i panegyryku, męczeństwo trzech wyznających prawosławie Litwinów było sprawą dobrze znaną. Kanonizacja Jana, Antoniego i Eustachego odbyła się w Konstantynopolu za patriarchy Filoteusza w niewiele lat po ich śmierci, która nastąpiła w roku 1346, względnie 1347; najpóźniej w roku 1374 — w roku przeniesienia ich relikwii do Konstantynopola. Od tego momentu kult wileńskich męczenników rozprzestrzeniać się zaczął w całym prawosławnym świecie: na Rusi, w krajach bałkańskich i oczywiście w ich ojczystej Litwie.

ANDRZEJ KEMPI

GRUDZIEŃ

| | | |
|---|----|--------------------|
| N | 13 | Łucji Otylii |
| P | 14 | Alfreda Izydora |
| W | 15 | Niny Celiny |
| Ś | 16 | Albiny Zdzisławy |
| C | 17 | Olimpii Łazarza |
| P | 18 | Bogusława Gracjana |
| S | 19 | Gabrieli Dariusza |

Myśli Tygodnia:

Oczekujemy pamiętki Narodzenia się Jezusa Chrystusa. Gotujemy się na przyjście Pana przez skupienie i modlitwę, przez nawrócenie się od zła, a czynienie dobra. To najlepsze oczekiwanie.

Refleksja

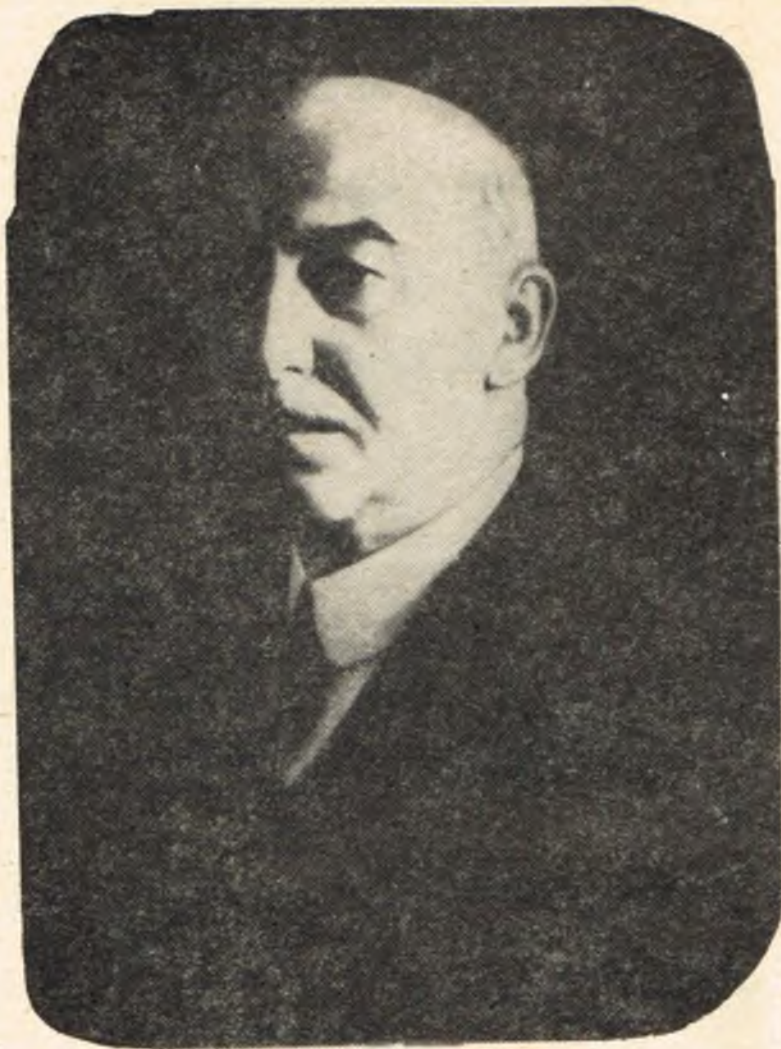
Świat nam się powiększa, dzięki technice i potędze umysłu ludzkiego, dzięki rakietom międzyplanetarnym. Cóż więc wobec tego wszystkiego znaczy Tajemnica Bożego Narodzenia? W naszych czasach, w erze podboju kosmosu, Tajemnica ta staje się jeszcze bardziej zdumiewająca. I zawsze taka prosta: Dzieciątko i Matka. Oto w tym — jak nam się wydaje — stale powiększającym się świecie, Tajemnica Bożego Narodzenia ma nowe wymiary, gdyż wysokość i rozległość kosmosu, cała głębia trwania, zbiegają się ku centrum przestrzeni i czasu, ku betlejemskiej stajence. Dzięki tajemnicy Narodzenia Boga, Bóg został wpisany na kartach historii człowieka i świata. Czy wpisany został do kart historii twojego życia?

**JUŻ ZA TYDZIEŃ
ŚWIĘTA
BOŻEGO NARODZENIA
Czy pomyślałeś
o gwiazdkowym
prezencie?**

W 65-lecie śmierci

15 grudnia 1922 roku prasa warszawska poinformowała czytelników o otwarciu w dniu następnym o godz. 12.00 w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych dorocznej wystawy sztuki, na którą zaproszono wiele wybitnych osobistości, w tym „Pana Prezydenta Rzeczypospolitej profesora Gabriela Narutowicza”. Następnego dnia była sobota. Rozkład zajęć prezydenta przewidywał rano wizytę u kardynała Krakowskiego, a w drodze powrotnej wizytę w Zachęcie. Tego samego dnia rano na biurku zastępcy szefa kancelarii prezydenta zadzwonił telefon. Podający się za komisarza policji mężczyzna pytał, czy na pewno i o której godzinie przybędzie na otwarcie wystawy prezydent Narutowicz. Nie podejrzewając podstępny i działając w najlepszej wierze urzędnik udzielił informacji. Nie mógł bowiem przypuszczać, że w rzeczywistości telefonował planujący zbrodnię Eligiusz Niewiadomski, z zawodu artysta malarz, fanatyczny członek Związku Ludowo-Narodowego. Po otrzymaniu informacji udał się Niewiadomski do Zachęty i ok. 11.40 znalazł się wśród wypełniających pomieszczenia wystawowe gości. Witał znajomych, oglądał obrazy i czekał. Kilka minut po 12.00 do Zachęty przybył prezydent, witany przez szefa protokołu dyplomatycznego i prezesa Zachęty. W chwili, gdy oprowadzany po wystawie zatrzymał się przed obrazem Teodora Ziomka „Szron”, stojący kilka kroków za plecami prezydenta Niewiadomski wydobyl z kieszeni rewolwer i oddał trzy strzały w plecy Narutowicza. Już pierwszy okazał się celny, dwa pozostałe trafiły w bezwładnie osuwające się ciało. Stojący obok prezydenta wiceprezes Zachęty, malarz Edward Okuń rozbroił nie stawiającego oporu zabójcę. Obecny na sali lekarz był jednak bezsilny. Prezydent zmarł natychmiast. O godz. 14.00 nad Zachętą zaczęła powiewać czarna, żałobna flaga, a zwłoki pierwszego prezydenta odrodzonej Rzeczypospolitej przewieziono do Belwederu.

Gabriel Narutowicz urodził się 17 marca 1865 r. w Telszach na Żmudzi, i tu, a także we wniesionych przez matkę Brevikach upłynęły Gabrielowi najmłodsze lata. Ojciec, Jan Narutowicz, zmarły w rok po urodzeniu Gabriela, był jednym z pierwszych Polaków na Litwie, którzy posłuszni patriotycznym wezwaniom wzięli udział w powstaniu 1863 r. Otoczony powszechną sympatią sąsiadów sędzia powiatowy, łącząc umiłowanie kraju z liberalnymi poglądami, rozumiał konieczność reform uwłaszczeniowych dla poszerzenia społecznego zaplecza walki o niepodległość. Dlatego Manifest Rządu Narodowego zastał chłopów w majątku Narutowicza i jego żony już uwolnionych. Demokratyczne i patriotyczne tradycje rodziny kontynuował brat Gabriela, Kazimierz — także powstaniec 1863 r.



Gabriel Narutowicz, pierwszy prezydent odrodzonej Rzeczypospolitej

GABRIEL NARUT

oraz matka, Ewa z Krzyżanowskich, kobieta niezwykle jak na owe czasy wykształcona.

Z rodzinnej Litwy wyniósł Narutowicz umiłowanie przyrody. Mimo złego od najmłodszych lat stanu zdrowia, mimo późniejszego ogromu zajęć i obowiązków pozostanie zapałym myśliwym i żeglarzem, doskonałym jeźdźcem i piechurzem. Młodzieniec nieśmiały i miłkiwy, potrafił cieszyć się pięknem świata, a w najtrudniejszych chwilach zachować optymizm graniczący z naiwną, ogromną wiarą w szybką moralną poprawę ludzi.

Po śmierci męża cały ciężar wychowania synów spoczął na barkach pani Ewy Narutowiczowej. Nie chcąc posyłać synów do szkół rosyjskich, w których po upadku powstania styczniowego realizowano program bezwzględnej rusyfikacji, przeniósł się do Libawy. Tu w małym nadbałtyckim miasteczku, zamieszkałym głównie przez ludność niemiecką, było gimnazjum klasyczne z niemieckim językiem nauczania. Podlegając luźno administracji rosyjskiej, realizowało program nauczania na wysokim poziomie i w sposób pozabawiony elementów pangermańskiej ekspansji. Narutowicz, mając szczególnie zainteresowania do nauk ścisłych i przyrodniczych, nie znajdował w programie szkolnym zajęć szczególnie go pociągających. Gimnazjum w Libawie opuścił Gabriel w r. 1883 jako uczeń dobry, lecz nie celujący. Jesienią tego roku zapisał się na wydział fizyczno-matematyczny uniwersytetu w Petersburgu. Rychło jednak okazało się, że petersburski klimat jest bardzo niezdrowy. Początki gruźlicy powodują konieczność ratowania zdrowia i wiosną 1886 r. Gabriel z matką wyjeżdża do Szwajcarii. Wspaniały górski klimat i troskliwa opieka lekarzy sprawiają, że chory zaczyna szybko wracać do zdrowia. W 1887 r., z nowym rokiem akademickim przybywa do Zurychu i po pomyślnym zdaniu egzaminów rozpoczyna studia na wydziale inżynierii budowlanej.

Opuszczając Polskę nie przypuszczał zapewne Narutowicz, że Szwajcaria stanie się jego drugą ojczyzną. Tu ukończy studia i rozpocznie pracę w zawodzie inżyniera, tu odnosić będzie sukcesy w pracy naukowej. Także w Szwajcarii założył rodzinę, zyskując w ciągu trzydziestu lat pracy miłość, szacunek i przywiązanie pracowniczego narodu. Do dziś mieszkańcy kantonu Saint-Gallen przy-

bysza z dalekiej Polski zaliczają z dumą do grona swych obywateli.

Powoli lecz systematycznie kształtuje się kierunek zainteresowań technicznych Narutowicza, który z czasem przyniesie mu sławę także poza granicami Szwajcarii. Naukę w ogóle, a szczególnie nauki techniczne pojmował jako codzienną służbę społeczeństwu. Stąd przekonanie, że inżynier i technik winni znać ludzi, którym służą, i stąd też zainteresowanie Narutowicza ekonomią, socjologią i historią. Żywy i dociekliwy umysł chętnie skłaniał się ku nowym prądom, w których widział siłę rozwojową umiłowanej przez siebie idei postępu społecznego ludzkości. Głęboki racjonalizm, umiarkowanie i niechęć do wszelkiego rodzaju egzaltacji cechującej wielu przedstawicieli ruchu narodowego na emigracji związało go szybko w Zurychu ze środowiskiem przyszłych działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej. Z natury łagodny, tolerancyjny, obdarzony poczuciem humoru, chętnie wybacał ludziom drobne słabostki i wady. Gdy jednak chodziło o wypełnianie obowiązków i pracę, stawał się bezlitosny. Nienawidził lenistwa, wygodnictwa, egoizmu, przedkładania własnego interesu ponad obowiązek wobec społeczeństwa i ojczyzny. Bezwzględny racjonalista — miał tylko jedno romantyczne marzenie: zbrojną walkę o wolność Polski. Dlatego mimo kłopotów zdrowotnych uczestniczył w kursach wojskowych na politechnice w Zurychu, wierząc, że przyda się przynajmniej jako inżynier wojskowy, gdy wybije godzina insurekcji. Na razie jednak nic tego nie zapowiadało. Przeciwnie. Fala represji, jaka ogarnęła ziemie polskie po wykryciu spisku na życie cara Aleksandra III i wykrycie powiazań — acz luźnych — Narutowicza z „buntownikami” uniemożliwiła mu planowany powrót do kraju.

W roku 1890 kończy Narutowicz z wyróżnieniem studia inżynierskie, a w początkach następnego podejmuje pracę w prywatnym biurze projektowym w Saint-Gallen. W latach następnych aż do 1895 pełni tamże obowiązki inżyniera w biurze budowy wodociągów i kanalizacji. Specjalizując się w czasie studiów w projektowaniu węzłów komunikacyjnych i budowli wodnych, pragnął Narutowicz poświęcić się w całości przede wszystkim nowatorskiej wówczas dziedzinie techniki, jaką była hydroenergetyka. A właśnie tu, w Szwaj-

carii, nadarzała się szczególna okazja do pogodzenia potrzeby społecznej z osobistym zamiłowaniem. W początkach pracy zawodowej była jednak żmudna, codzienna, często niewdzięczna praca. Znacząca zarazem niemałymi sukcesami w projektowaniu stacji i linii kolejowych, regulacji rzek, budowie kanałów. Dopiero jednak podjęcie pracy w biurze projektowym inżyniera Kursteinera, jednego z najwybitniejszych praktyków w dziedzinie projektowania i budowy elektrowni wodnych zapewniło Narutowiczowi uznanie i sławę. Na wystawie światowej w Paryżu w 1896 r. plany opracowane przez niego nagrodzone zostają złotym medalem, a w 4 lata później, po otrzymaniu takiego samego medalu za prace biura, zostaje Narutowicz współwłaścicielem firmy. Gdy okazuje się, że nadziei na powrót do ojczyzny nie można zrealizować postanawia Narutowicz związać się ściślej z przybraną ojczyzną i występuje o przyznanie mu obywatelstwa szwajcarskiego, które rada kantonalna Saint-Gallen przyznaje mu w 1895 r.

Lata 1896–1908 to okres największych sukcesów Narutowicza. Bierzże wówczas udział w opracowaniu niemal wszystkich ważniejszych projektów hydroenergetycznych w Szwajcarii. Jego pracami interesują się fachowcy z Francji, Anglii, Włoch, Stanów Zjednoczonych i Niemiec, przenosząc do swoich krajów nagromadzone doświadczenia. Obok wielu wspaniałych, do dziś istniejących budowli, jak np. olbrzymia na owe czasy elektrownia w Kubel pod Saint Gallen, przedstawiał także projekty tak nowatorskie, że przerastały wyobraźnię współczesnych. Należały do nich np. projekty wykorzystania siły wodnej ze szwajcarskich lodowców Glimsell. Rząd szwajcarski, darzący Narutowicza ogromnym zaufaniem, nie odważył się wówczas na realizację, obawiając się ich nierealności i olbrzymich kosztów. Plany zrealizowano dopiero po ostatniej wojnie, wykorzystując przedstawione przed laty założenia techniczne.

Sukcesom zawodowym towarzyszy pomyślność materialna, a także szczęście rodzinne. W 1901 r. żeni się z daleką kuzynką ze strony matki, a zarazem koleżanką ze studiów. Ewą Krzyżanowską, która stanie się wspaniałą towarzyszką życia i pracy wielkiego uczonego.

W 1908 r. Narutowicz przyjmuje złożoną mu dwa lata wcześniej propozycję objęcia stanowiska profesora na politechnice w Zurychu i bardzo szybko zyskuje sympatię kolegów i studentów. Obok pracy naukowej i dydaktycznej, a także praktycznej działalności inżynierskiej znajduje czas dla różnych stowarzyszeń i komisji, zabiegających o opinię tak wybitnego specjalisty.

Teśknota i myśli o kraju nie opuszczają Narutowicza również w chwilach największego powodzenia. W 1911 r. odbywa podróż po Galicji. Jej rezultatem było opracowanie projektu budowy elektrowni na Dunajcu w Szczawnicy-Jazowisku. Gdy władze austriackie wyraziły zgodę na budowę, Narutowicz rozpoczął zabiegi o uzyskanie kredytu w bankach szwajcarskich, przerwane ostatecznie wybuchem I wojny światowej.

OWICZ

Dla Polski jest to punkt zwrotny historii. Wraz z wieloma Polakami dzieli Narutowicz ostrożny optymizm, choć rozumie strasliwą cenę, jaką narodom Europy przyjdzie zapłacić na polach bitew. Szybko staje się aktywnym i energicznym rzecznikiem sprawy polskiej na obczyźnie. Gdy w początkach sierpnia 1914 r. powstaje w Zurychu Polski Komitet Samopomocy w celu wspomagania Polaków dotkniętych wojną, Narutowicz bez wahania staje na jego czele, oddając ogromne usługi setkom pozbawionych pracy i mienia Polaków, którzy schronili się w Szwajcarii. Gdy w 1915 r. powołano w Vevey w Szwajcarii Wielki Komitet Polski, mający propagować sprawę niepodległości Polski, Narutowicz reprezentował go w Zurychu. Stał się także gorącym rzecznikiem sprawy Legionów, nie wiążąc się jednocześnie z żadną orientacją polityczną ani nie ufając deklaracjom żadnego z państw zaborczych. Dlatego na zabiegi Niemców, próbujących pozyskać autorytet wybitnego uczonego dla tworzonej w okupowanej Warszawie namiastki władz polskich, odpowiada odmownie.

Sprawa powrotu do Polski staje się aktualna dopiero po odzyskaniu niepodległości. Czeką jednak na wezwanie z ojczyzny, na wskazanie pracy, w której byłby pożyteczny. Zatrzymują go jeszcze rozmaite sprawy zawodowe, zatrzymuje go również choroba żony. Po jej śmierci, w lutym 1920 roku Narutowicz podejmuje decyzję o powrocie na stałe, żegnany przez Szwajcarów z żalem, ale i zrozumieniem dla patriotycznej, bezinteresownej decyzji. 24 lipca 1920 roku, w najdramatyczniejszym momencie wojny polsko-radzieckiej przybywa do Warszawy i w koalicyjnym rządzie obrony narodowej obejmuje tekę ministra budownictwa i robót publicznych w warunkach gospodarczego i cywilizacyjnego zacofania kraju, niezwykle dotkliwych zniszczeń wojennych, szalejącej inflacji i braku funduszy na podjęcie choćby najpilniejszych prac. Zaczął od doboru właściwych ludzi i rozpoczął od prac najpilniejszych, czyli usuwania zniszczeń. Wiele uwagi poświęcił elektryfikacji kraju, zabiegał o kredyty na regulację rzek, budowę kanałów i elektrowni. Był także inicjatorem uregulowań prawnych związanych z jego resortem.

Z upływem czasu wzrastał autorytet Narutowicza w Radzie Ministrów. Okazało się, że jest on nie tylko znakomitym fachowcem

i szefem resortu, ale także mężem stanu, interesującym się żywo kluczowymi problemami polskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej owych lat. Na posiedzeniach rządu bronił Narutowicz sprawiedliwej polityki w stosunku do mniejszości narodowych, popierał rozwój oświaty i szkolnictwa, domagał się energiczniejszych działań wobec Gdańska i w obronie polskości na tych częściach Śląska i Pomorza, które znalazły się poza granicami wkrzeszonego państwa. Gdy w początkach 1922 roku zaognił się spór z Litwą o Wileńszczyznę, Narutowicz opowiedział się za autonomią, a przeciwko bezwzględnej inkorporacji tej ziemi. Wbrew stanowisku rządu zdominowanego przez polityków endeckich. Ta postawa Narutowicza daje chlubne świadectwo nie tylko jego realizmowi politycznemu, ale także osobistej uczciwości. Działalność przeciwko wbrew własnym emocjonalnym związkom z Wileńszczyzną.

W czerwcu 1922 r. obejmuje Narutowicz resort spraw zagranicznych. W przemówieniu powitalnym nakreślił cele polskiej polityki zagranicznej. Najważniejsze to ostateczne uregulowanie kwestii Małopolski, rozstrzygnięcie sporu polsko-czeskiego, osiągnięcie podstaw do normalizacji i rozwoju stosunków polsko-radzieckich, obrona praw polskich w Gdańsku, umocnienie sojuszu z Francją i Rumunią, rokowania z państwami bałtyckimi i szukanie dróg wyjścia z impasu, w jaki weszły po inkorporacji Wileńszczyzny stosunki z Litwą. Osiągnięcie tych celów było niezwykle trudne i tylko w części zakończone sukcesem. Przez cały czas realizował jednak taki program polityki zagranicznej, jaki we własnym przekonaniu uważał za słuszny i leżący w interesie państwa polskiego, bez oglądania się na stanowiska skłóconych stronnictw. A w związku ze zbliżającymi się wyborami do sejmiku drugiej kadencji, walka polityczna w Polsce zaostrzała się. Aż trzy wielkie ugrupowania miały nadzieję wysunąć kandydaturę Narutowicza do sejmiku: zwolennicy Piłsudskiego, PPS i Klub Pracy Konstytucyjnej. Narutowicz odmawia. Pragnie stworzyć ugrupowanie, które stanęłoby do wyborów pod hasłem konsolidacji narodowej, porzucenia partyjnych waśni, skierowania Polski na drogę ustroju liberalno-demokratycznego z konstytucją, ale i silną władzą wykonawczą. Powołane do życia stronnictwo pod nazwą Unii Demokratyczno-Narodowej wysunęło kandydaturę Narutowicza. W ówczesnych warunkach program okazał się jednak utopijny, a Unia nie zdobyła ani jednego mandatu. Natomiast podział miejsc w sejmie, w którym żadne z wielkich ugrupowań nie zyskało przewagi, zwiastował nasilenie walki politycznej. Tym bardziej, że nadchodził czas wyborów prezydenckich.

Za głównego kandydata uważano Piłsudskiego. Ten jednak zrezygnował. Odmówił kandydowania również Dmowski, wypowiadając się zarazem przeciwko kandydaturze Paderewskiego. Ostatecznie kandydatem prawicy został Maurycy Zamoyski, największy w Polsce obszarnik, poseł w Paryżu. Partie lewicowe i centrowe nie zdołały uzgodnić wspólnej kandydatury. I tak PSL-Piast opowiadała się za Stanisławem Wojciechowskim, PSL-Wyzwolenie za Gabrielem Narutowiczem, PPS za Ignacym Daszyńskim, a mniejszości narodowe zaproponowały Jana Baudouin de Courtenay. Narutowicz długo wahał się, czy zaakceptować swą kandydaturę. Przyjął ją być może dlatego, że nie bardzo wierzył w możliwość wyboru. Stało się jednak inaczej. Gdy cztery tury głosowania nie przyniosły rezultatu, w piątej pozostały tylko dwie kandydatury: Narutowicza i Zamoyskiego. W ten sposób głosami lewicy, centrum i mniejszości naro-

dokończenie na str. 14



Gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie

W 100 rocznicę śmierci J. I. Kraszewskiego

Dobiega już końca „Rok Kraszewskiego”, upamiętniający okrągłą rocznicę śmierci literata, historyka i społecznika w jednej osobie, powszechnie znanego przede wszystkim z tytanicznego dorobku około 400 powieści.

Jak różnie do dziś oceniane jest to dzieło: przez jednych z nieklamany i niesłabnącym podziwem, przez innych — z ironizującym uśmiechem, jaki wzbudza „masowe powieściopisarstwo dla mas”. Taka bowiem mniej więcej etykieta — niesłuszna i krzywdząca — przygłęła do powieściowej twórczości Kraszewskiego, zwłaszcza zaś do jego powieści historycznych ujętych w długi cykl zbeletryzowanych kronik dziejów Polski, które rozpoczyna „Stara baśń”, a kończą „Saskie ostatki”.

Tych, których wciąż znacznie bardziej urzeka barwność i dynamika prozy sienkiewiczowskiej, trudno przekonać o wartościach „kronikarskiego” dorobku pana Józefa, którego narracja nieraz wydać się może przeciętna i nudnawa i którego własną wizję wydarzeń dziejowych niejednokrotnie skorygowały późniejsze pokolenia historyków. Nie mało odbiorców nie odczuwa też dostatecznie jego zmysłu obserwacji i wrażliwości



Dom w Warszawie, w którym urodził się J. I. Kraszewski

Z ziemi włoskiej

estetycznej. Najczęściej nie znamy bowiem Kraszewskiego-dziennikarza, Kraszewskiego-reportera, jakim ujawnił się on m.in. w tomie wydanych w 1866 r. reportaży, będących plonem długiej podróży po Włoszech.

Pan Józef rozpoczął tę peregrynację w 1858 roku, przez Kraków, Wiedeń i Triest docierając do Wenecji. Potem była Padwa, Siena, Mediolan, Genua, Piza, Florencja, Rzym... „Spędziwszy kilkadziesiąt lat życia na swojej ziemi, myślą zaledwie wybiegając poza jej granice, przyszło i mnie narzeczcie z wędrownymi ptakami... pójść własnymi oglądać oczyma te cuda, których opowiadaniem karmiłem się od dzieciństwa” — objaśniał na wstępie Kraszewski tej podróży. „Wiodła nie tyle rzeczy i spraw ludzkich, wszędzie mniej więcej jednakowa, ciekawość, ile chęć sprawdzenia tego, co ludzie napisali o cudach obcych krajów”.

Zainteresowania literata-historyka — co naturalne — skupiały się w podróży naabytkach sztuki i przeszłości odwiedzanych miejsc, lecz poza tym żywo interesowało go też codzienne życie, oglądane krajobrazy, ludzkie typy i obyczaje, nawet drobne informacje uzyskiwane w rozmowach z przygodnie napotkanymi osobami i oczywiście wszelkie polonica. Jeśli najchętniej wybiegał myślami w świat antycznych dziejów, średniowiecza i Odrodzenia, to z reporterskim wyczuciem śledził także wszystkie odrębności i zjawiska mające dla Polaka posmak egzotyki.

Bacny i krytyczny obserwator mijanego po drodze życia, nie dawał się zwieść i omamić tanimi, typowo turystycznymi atrakcjami obliczonymi na potrzeby podróżnika mniej wyrobionego i bez reszty urzeczonoego pięknem włoskich zakątków. Ten sam duch, który kazał mu kreślić losy bohaterów jego powieści „ludowych”, społeczno-obyczajowych, czynił go wrażliwym na społeczną rzeczywistość oglądaną w miastach i wsiach ówczesnej Italii. Liczące blisko pół tysiąca stron „Kartki z podróży 1858—1864”, to prawdziwy dokument czasu, niestety, prawie zupełnie nie znany u nas szerszemu gronu czytelnictwu i przez to zubożający wy-

obrażenie o niezwyklej osobowości pana Józefa — człowieka, który przez pewien czas spełniał dla własnych rodaków rolę „wolnej wszechniczy”.

Nieznała też i długo zapomniana była jego pochodząca z tego okresu powieść „Rzym za Nerona, niedawno przywrócona pamięci czytelników staraniem wydawnictwa „Novum”. Dobrze się stało, iż ta przyćmiona i zdetronizowana przez sienkiewiczowskie „Quo vadis” powieść o pierwszych chrześcijanach Wiecznego Miasta, znów może znaleźć się w rękach polskiego czytelnika. Kraszewski był w naszej prozie wprawdzie prekursorem tego tematu, wyprzedzając o dobre kilkadziesiąt lat Sienkiewicza, czy Teodora Jeske-Choińskiego z jego powieścią „Gasnące słońce”. Nigdy jednak nie zwrócił na siebie uwagi uzyskaniem literackiej nagrody Nobla, a „Rzym za Nerona” zniknął bez głębszego oddźwięku wśród pozostałych setek jego powieści.

Tymczasem utwór ten również wypada zaliczyć do cyklu „włoskich impresji” Kraszewskiego. Powstał w Genui w 1864 roku, jest owocem pierwszej zagranicznej podróży pisarza, jego zetknięcia z atmosferą współczesnej i dawnej Italii, jaką oddychał przez sześć lat. Trudno spierać się czy „Rzym za Nerona” mógł skutecznie konkurować z sienkiewiczowskim dziełem. Kraszewski-autor fabuły zastosował w nim tyleż modny wówczas, co i prosty zabieg: losy bohaterów przedstawił w garści pisanych przez nich listów, rzekomo znalezionych przez pisarza przypadkiem wśród zbiorów antykwarium z genueńskiej ulicy. Dzięki temu fabuła i postacie miały nabrać większej wiarygodności, zaś sam autor, będący niby-tłumaczem tych epistoł, stawał się jak gdyby tylko pośrednikiem pomiędzy osobami dramatu a czytelnikiem. O tym, że zabieg ten nie przyczynił się do ożywienia narracji, nie trzeba nikogo przekonywać. Zapewne i to zdecydowało o nie największym powodzeniu książki.

W dobie kiedy tłumaczone na obce języki i filmowane dzieło Sienkiewicza święciło triumfy, prekursora powieści Kraszewskiego była już zignorowana i zapomniana. A

przecież i pan Józef pisał swe książki „ku pokrzepieniu serc” (ale i ku przestrodze, ku zastanowieniu nad tym, co do upadku przywiodło...). Dowodnie mówi o tym umieszczone na wstępie opowieści motto zaczerpnięte z Tacyty: „Spójrz młodzieńcze — urodziłeś się zresztą na takie czasy, w których wypada umocnić ducha trwałymi przykładami”. Te przykłady — to życie i tragiczny los pierwszych chrześcijan, niezłomnych wobec otaczającej ich nieufności, niechęci i nienawiści, świadomych tego, że ich dobrowolna ofiara, która przyniesie ostateczny triumf wiary, zaowocuje wcale nieprędko..

Juliusz Flawiusz — jeden z dwojga głównych bohaterów powieści — uosabia typ opornego neofity, powoli oswajającego się z prawdami Chrystusowej wiary, nim od da się jej bez reszty. W zestawieniu z postaciami kreowanymi w „Quo vadis” przez Sienkiewicza, sylwetki bohaterów Kraszewskiego i motywy ich działania, nakreślone są mniej barwnie i przekonywająco. Wspólne obu autorom jest ukazanie Nerona jako okrutnego, znerwicowanego władcy i aktora na cesarskim tronie, bo najwidoczniej obydwoj korzyścili z charakterystyki tej postaci szeroko upowszechnionej przez kroniki Swetoniusza i Tacyty. I tu jednak Sienkiewicz z większą głębią i finezją zdołał oddać postać samego cesarza i jego otoczenia.

Pomijając owe różnice, można by szczerze zachęcać czytelnika do skonfrontowania wizji Kraszewskiego z sienkiewiczowską wizją neronowego Rzymu, gdyby obecni wydawcy książki lepiej zadbali o jej stronę edytorską. Niestety, nazbyt rażą liczne korektorskie niedopatrzania, a zwłaszcza zagmatwana i przestarzała interpunkcja (dość swobodnie przenoszona zapewne ze starego wydania), która nabiera istotnego znaczenia w prozie Kraszewskiego, świadomie naśladowanego łaćnińską stylistykę w długich i złożonych zdaniach. Współczesnemu czytelnikowi znacznie utrudnia to właściwy odbiór fabuły. Choć Kraszewski wykazuje dobrą na swe czasy znajomość epoki i realiów cesarskiego Rzymu, czytelnika zmylą nieraz pomyłki wydawcy w rodzaju: „galilejski” (zamiast „galijski”), „szopina” (zamiast „popina”), „gemorie” (zamiast „Gemonie”), zniekształcenia imion jak Ahenobarbur (Ahenobarbus), Sulwiusz (Fulwiusz). Także zwykłe błędy ortograficzne (rzymianka, zbeszcześciwszy). Ale sięgnąć po książkę warto.

KRZYSZTOF GÓRSKI



Maria Skłodowska-Curie z córką Ireną (r. 1921)

W 120 rocznicę urodzin

Maria Skłodowska-Curie

Pod koniec ubiegłego stulecia przybyła do Paryża młoda Polka, Maria Skłodowska. Zjawiała się w stolicy Francji samotna, bez przyjaciół, z niezmiernie szczupłymi zasobami materialnymi, ale za to z niebywałym zapalem i gorącą wiarą w siebie. Przywiozła ze sobą zamiłowanie do badań naukowych, odziedziczone po ojcu Władysławie Skłodowskim, profesorze gimnazjalnym w Warszawie.

Zycie w Paryżu nie było łatwe. Nigdy jednak Maria nie czuła się taka radosna i taka szczęśliwa. Nauka i praca wynagradzały jej braki i przykrości, dodawały sił do pokonywania trudności. Daje temu wyraz, pisząc w swej autobiografii:

„Niepodobna nawet ani opisać, ani wyrazić, jak wiele dobrego przyniosły mi owe lata. Wolna od wszelkiego innego zajęcia, pograżyłam się zupełnie w radości uczenia i pojmowania nauki. A przecież cały ten czas moje warunki życia daleko odbiegały od dostatku (...). Pokój mój znajdował się w mansardzie i był w zimie bardzo chłodny, ponieważ mały piecyk słabo go ogrzewał, a przy tym często brakło w nim węgla (...). Obiad składał się często z chleba i filiżanki czekolady, z jaj i owoców. Nie mia-

łam żadnej pomocy w gospodarstwie i sama wносиłam niewielkie ilości zużywanego węgla na szóste piętro. To życie, z pewnych względów mozolne, miało za to wiele powabu dla mnie. Dawało mi cenne poczucie swobody i niezależności. Nieznana w Paryżu, zgubiona byłam w wielkim mieście, ale świadomość, że żyję sama, nie oglądając się na nikogo i bez żadnej pomocy, wcale mnie nie przygnębiała.

Gorliwa praca i olbrzymie pragnienie wiedzy zwróciły uwagę profesorów, a zwłaszcza dra Lippmana, u którego pracowała po zdobyciu dwu licencjatów (stopień naukowy we Francji, odpowiadający naszemu tytułowi magistra) nauk fizycznych w roku 1893 i nauk matematycznych w r. 1894. W tym też roku poznała u profesora Wierusz-Kowalskiego z Fryburga, młodego fizyka Piotra Curie. Przyjaźń pobudzana wspólnymi zainteresowaniami na tym samym polu pracy zakończyła się małżeństwem zawartym w r. 1895.

Młodzi małżonkowie mieli pracować razem, niemal jak kole-dzy. Zamieszkali w dwóch małych pokojkach, których umeblowanie nie było zbyt bogate. Łóżko, parę krzeseł, dwa stoły

do pracy, trochę sprzętów kuchennych — to wszystko. Były jeszcze dwa wspaniałe rowery, które otrzymali w darze od przyjaciół. Na nich to odbyli swoją podróż poślubną.

W r. 1897 urodziła się młode-mu małżeństwu córka Irena. Któż mógł wtedy przewidzieć, że odziedziczyszy genialne zdolności po ojcu i matce stanie się z czasem sama wybitną uczoną, wespół z mężem — Fryderykiem Joliot — laureatką nagrody Nobla.

Dla Marii i Piotra rozpoczęło się życie pełne trudów i wytężonej pracy. Dom. Dziecko. Praca naukowa. Mimo że jest młodą żoną i matką, pracuje Maria nadal naukowo. Za temat pracy doktorskiej wybrała sobie badania nad ciałami promieniotwórczymi. Badania te doprowadzają ją do odkrycia dwóch nowych pierwiastków: polonu i radu. Przez następne cztery lata pracują już obydwójce małżonkowie Curie nad wydzieleniem czystego radu z rudy. Przerabiają w tym celu osiem ton smółki uranowej. Robią tysiące doświadczeń chemicznych. Nie mając laboratorium, pracują w drewnianej szopie, w zimnie i wilgoci, dźwigając nieraz ciężary nad siły. A jednak entuzjazm dla podjętego dzieła dał obojgu możliwość wytrwania w pracy i w r. 1903 odnieśli wielkie zwycięstwo — otrzymali decygram czystego chloru radu. Za odkrycie radu małżonkom Curie przyznano nagrodę Nobla.

Od chwili odkrycia radu Curie'owie zaczynają być sławni. Materialne ich warunki ulegają

na śmierć Piotra Curie w 1906 r. pod kołami wozu ciężarowego przerwała niezwykle owocną współpracę małżonków.

Nigdy Maria nie podniosła się już po tym ciosie. Straciła ukochanego męża, przyjaciela, kolegę i towarzysza pracy, ojca swoich dziewczynek. Jak tu dalej żyć? Jakże żyć bez człowieka, o którym pisze w następującej sposob w swojej książce — zyciorysie Piotra:

„Spełnił wszystko i więcej niż wszystko, o czym mogłam marzyć w chwili naszego związku. Stałe rósł mój podziw dla jego wyjątkowych wartości tak rzadkich i wzniosłych, iż z czasem wydawał mi się jedynym na świecie człowiekiem zupełnie pozbawionym próżności i małostek, jakie odkrywa się w sobie i w innych sądząc je po-błażliwie, lecz jednocześnie pragnąc doskonalszego ideału”.

Jakże tu żyć po jego stracie? A jednak trzeba, w myśl jego własnych słów, że „...gdyby jedno z nas miało odejść wcześniej, to drugie powinno zostać, trwać na stanowisku i pracować dalej”.

W grudniu 1906 r. Maria Skłodowska-Curie, jako pierwsza kobieta, obejmuje po swym mężu katedrę w Sorbonie. W kilka lat potem uzyskuje po raz drugi nagrodę Nobla za zasługi w dziedzinie chemii ciał promieniotwórczych. Bo też istotnie, pod jej kierunkiem i przy jej bezpośrednim współudziale przeprowadzona została olbrzymia praca opanowania we wszelkich szczegółach tej nowej dziedziny chemii, wymagającej wprowadzenia nowych metod badawczych — praca mająca podstawowe znaczenie dla dalszych badań.

Znaczenie odkrycia radu miało olbrzymie następstwa nie tylko dla rozwoju fizyki. Miało ono również doniosłe znaczenie praktyczne dla medycyny. Promienianie radu wywiera silny wpływ na komórki żyjące; może ono nawet zabijać te komórki. Szczególnie energicznie niszczą działanie promieni radu ujawnia się w przypadku komórek nowotworowych. Dzisiaj w szeregu krajów leczenie raka radem stosuje się na szeroką skalę.

Laboratorium Marii Skłodowskiej rozwinęło się z biegiem czasu w największy ośrodek naukowy Francji. Wkrótce powstał w Paryżu kierowany przez nią Instytut Radowy, skupiający badania naukowe nad ciałami promieniotwórczymi i stanowiący zarazem ośrodek lecznictwa radem.

Ciągła praca naukowa i szkodliwy wpływ promieniowań nadszpeciły zdrowie Marii, zmarła 4 lipca 1934 r., lecz przed śmiercią dane jej było jeszcze do-czekać się nowych, świetnych sukcesów, osiągniętych w jej laboratorium. Oto jej córka, Irena, wraz ze swym mężem wykryli zjawisko sztucznej promieniotwórczości, otwierając w ten sposób nową, niezwykle płodną i ważną dziedzinę badań i godnie podtrzymując tradycję naukową rodziny Skłodowskich-Curie.

Upowszechnianie czytelnictwa nie należy bynajmniej do łatwych. Nawet dzisiaj w dobie pełnej cywilizacji technicznej, gdy nie ma już mowy o elitarnym dostępie do książki ze względu na rozwój nowych technik drukarskich a także powszechną oświatę, istnieje wiele przyczyn, które mogą osłabić zainteresowanie książką.

Odwołując się do tradycji historycznej, w Polsce po raz pierwszy podjęto badania nad czytelnictwem w roku 1890. Jeśli weźmiemy pod uwagę, jak doniosłą rolę odgrywało wówczas słowo wyrażone w języku ojczystym, fakt ten jest w pełni uzasadniony. Właśnie wtedy książka wyrażała poprzez słowo wolę narodu do odzyskania niepodległości, walczyła o istnienie na przestrzeni stu pięćdziesięciu lat niewoli. Służyła „ku pokrzepieniu serc”, gdy zawiody powstania zbrojne. Zakreślała na kulturowej mapie Europy granice Rzeczypospolitej, dawno już pozbawionej praw do politycznego bytu.

KSIĄŻKA ZAWSZE POTRZEBNA

Dlatego też zbyt dobrze znający tamte czasy bibliotekarze, księgarze, publicyści: Stanisław Karpowicz, Stefan Michalski i Ludwik Krzywicki podkreślali znacznie książki w kształtowaniu narodowej obronności.

Ów patriotyczny ton, nakazujący potrzebę badań czytelnictwa trwa do pierwszego ćwierćwiecza XX wieku. Na uwagę zasługują tu zwłaszcza prowadzone od roku 1925 prace Heleny Radlińskiej, która będąc inicjatorem i organizatorem Studium Pracy Społeczno-Oświatowej przy Wolnej Wszechnicy Polskiej, zapoczątkowała w Sekcji Bibliotekarskiej wykłady oraz ćwiczenia z zakresu czytelnictwa. Jako pedagog i historyk oświaty zmierzała Helena Radlińska do awansowania spraw książki i jej recepcji w kierunku społecznego zainteresowania.

W chwili obecnej znaczna część studiów, których celem jest ustalenie miejsca książki wśród odbiorców (w tym dzieci i młodzieży) ma dostarczyć odpowiedzi na pytania: jakie okoliczności określają znaczenie książki oraz jakie czynniki warunkują czytelnictwo?

Spośród nich za decydujące można uznać:

1) okres historyczny, w którym książka oddziałuje na społeczeństwo, 2) ładunek treściowy w niej zawarty, 3) inne czynniki towarzyszące zachodzącym przemianom (np. technicyzacja życia).

Nie sposób omówić w tej chwili wszystkich problemów, wynikających z okresu historycznego, w którym książka żyje. Truizmem byłoby również twierdzenie, że każda książka, a zatem i myśl w niej zawarta, wyrastają z określonego podłoża uwarunkowań politycznych czy społecznych. Dowodów na to znajdziemy wiele w naszej literaturze. Jak dawniej, tak i obecnie książka wychodząca naprzeciw czytelnika, traktująca o problemach mu współczesnych, ma szansę trafienia do odbiorcy, bowiem poprzez analizowanie postawy swych bohaterów uczy jednocześnie poznawać ludzi, rozumieć ich — uczy trudnej sztuki życia.

Nierozzerwalnie wiąże się z tym ładunek treściowy zawarty w książce, decydujący o reakcjach czytelników. W piśmiennictwie dla dzieci i młodzieży szczególne znaczenie ma zwłaszcza znajomość wpływów, jakim młody czytelnik podlega oraz wynikających z tego problemów, które go nurtują. Nie chodzi tu oczywiście o wyłączone stawianie pytań i udzielanie odpowiedzi, a raczej o wskazanie pewnych postaw w sytuacjach konfliktowych, które czytelnik mógłby zaakceptować stosownie do swoich potrzeb. Dydaktyzm literatury dziecięcej i młodzieżowej wymaga bowiem raczej nie narzucającej się formy dialogu z czytelnikiem, w której książka pełni rolę wychowawcy godnego zaufania. W znacznej mierze w tym

właśnie zawiera się społeczna funkcja książki, decydująca o jej wartości i autorytecie.

W dyskusjach prowadzonych na temat literatury dziecięcej i młodzieżowej wielokrotnie zwracano uwagę na zagadnienie odpowiedzialności twórcy. Odpowiedzialność taka występuje już w momencie powstania samej książki, wzrasta, gdy trafia ona do rąk czytelnika.

Krytycy i autorzy literatury dziecięco-młodzieżowej twierdzą zgodnie, że jest to jeden z najtrudniejszych rodzajów sztuki pisarskiej. Wymaga bowiem znajomości psychiki dziecka czy dorastającego człowieka, często pogłębionej systematycznymi studiami z zakresu pedagogiki czy psychosocjologii. Dlatego współpraca autorów, pedagogów i psychosocjologów nabiera w tym przypadku istotnego znaczenia. Umiejętność wniknięcia w świat wyobrazni dziecka, jego wrażliwość decyduje niejednokrotnie, czy znajdziemy w nim nie tylko odbiorcę, ale i miłośnika. Po-

na stanowić źródło inspiracji, wyzwalać inicjatywę, w rezultacie której czytelnik sam chciałby urzeczywistnić zawarte w niej wartości.

Wynika to z faktu, iż w świadomości młodzieży może bardziej niż kiedykolwiek istnieje zapotrzebowanie na bohatera pozytywnego. Bohatera, w którym czytelnik dostrzeżaliby samego siebie poprzez pryzmat wyrażonych w książce niepokojów. Może właśnie dzięki temu, konfrontując własne ambicje szukałby właściwej dla siebie drogi.

Już od najmłodszych lat człowiek poprzez kontakt z książką poznaje piękno i uczy się je odczuwać. Jest to bardzo cenne dla przyszłego kulturowego oblicza społeczeństwa. Tworzenie tego oblicza dokonuje się różnymi drogami. Książka jest jedną z nich.

I tu właśnie problem polega na tym, by owe drogi nie wykluczały się wzajemnie. By sobie „nie przeszkadzały”. By ich wzajemna konkurencyjność okazała się inspirująca i kształcząca dla odbiorcy. Adaptacje filmowe utworów literackich prezentowane przez kino, teatr czy telewizję, słuchowiska radiowe mogą wpływać korzystnie na upowszechnienie literatury, ale mogą też nieść pewne



nado z punktu widzenia edytorskiego, książka przeznaczona dla tej kategorii odbiorców powinna operować tekstem i obrazem we właściwych proporcjach. Obraz spełnia bowiem nie mniej ważną rolę w kształtowaniu estetycznych doznań.

W przypadku książki młodzieżowej duże znaczenie mają: rozpiętość wieku oraz poziom czytelnika. Z tego też względu szczególnie nacisk położony jest na tematykę i stopień artyzmu. O tym, że młodzież oczekuje od autorów i wydawców książek problemów, adekwatnych do przeżywanego rzeczywistości świadczy wiele wypowiedzi. Nie znaczy to oczywiście, że literatura obejmująca wydarzenia historyczne, czy fantastyczno-przygodowa nie zostanie przez młodzież przyswojona i zaakceptowana. Wydaje się, że cały problem polega przede wszystkim na tym, aby niosąc za sobą wartości i problemy uniwersalne książka rozwijała także wyobraźnię. Z drugiej strony książce historycznej spełniającej wszystkie warunki „malarzkiego obrazu historycznego” nie można przecież odmówić również szans powodzenia. Niezależnie przecież od treści na stan jej poczytności mogą wpływać także przejrzystość akcji, interesujące realia epoki, środowiska, prosta, konsekwentna konstrukcja i przystępny styl.

Nie określając zatem sztywnych reguł, jakim powinna odpowiadać literatura dla dzieci i młodzieży, jedno wydaje się bezsporne. Mianowicie fakt, że książka zawsze powin-

niebezpieczeństwo dla rozwoju czytelnictwa. Dobrze się dzieje, gdy adaptacja zachęca do kontaktu z książką, gorzej — gdy jest odwrotnie.

Tak czy inaczej trzeba zdać sobie sprawę, że każda adaptacja, nawet najlepsza, stanowi zawsze propozycję interpretacji. Odbiorca patrzy więc nie tyle na dzieło literackie, co na dzieło reżysera i jedynie o nim może wyrobić sobie obiektywny pogląd. Jeśli jednak nawet tak jest, to i tak interpretacja będzie czymś narzuconym. Przy bezpośredniej lekturze — przeciwnie. To właśnie czytelnik jest interpretatorem, on sam stwarza obraz postaci, wydarzeń. Jest czytelnikiem, ale także i podmiotem i na tym właśnie polega szczególna i wyjątkowa w stosunku do innych „zapisów informacji” funkcja książki.

Warto się zastanowić, czy właśnie teraz — w świecie kosmicznych statków i atomowych „niespodzianek” książka nie stanowi także swoistego „azyłu”, nie zapewnia tak potrzebnej intymności, nie sięga głębiej niż inne środki przekazu.

Jeśli tak jest, a jest z pewnością, stwarza ona daleko szerszą i bardziej wszechstronną szansę indywidualnego rozwoju, szansę, która bez względu na konkurencję nowoczesnej techniki pozwala mieć nadzieję na przyszłość.

ELŻBIETA DOMAŃSKA

Tuż za szybką płatki śniegu
w rytmie walca tańczę,
A ja — widzę cień choinki
za przyćmioną lampą...

Noc grudniowa mroźna, cicha,
coś mi przypomina:
że — to Święta już za pasem
bo nadeszła zima!

Znów w Stajence, jak co roku,
będziem witać Pana
oraz śpiewać Mu kolędy —
tak, jak nas uczyła Mama...

Błyszczy w chmurze sierp Księżycy:
Brrr... Na dole taki ziąb!
A ja — na paluszkach liczę
Ile jeszcze dni do Świąt?

Świąt radosnych, bo rodzinnych,
jednoczących całą ziemię,
wszystkich ludzi — małych, dużych,
nasze — Boże — Narodzenie...

Śnieżny obrus, i opłatek,
na sianku pachnącym,
I — modlitwa, odmawiana wspólnie
głosem ze wzruszenia drżącym...

E. LORENC



(14)

— Co i kto znowu kraje?
Czyż ty nie możesz mówić
wreszcie po ludzku? — zaśmiała
się stara, stukając jednocześnie
kijem o pień drzewa, co miało
oznaczać zaproszenie do stołu.

— Star...ram się mówić, ale mi
wyr...rażnie nie wychodzi. Popr...
roszę jeść — poprawił się kruk.

— To już znacznie lepiej —
pochwaliła go Jarucha. — Chodź
więc tu do nas, straszne pta-
szysko, mamy dziś na obiad pie-
czoną dziką kaczkę.

— Nigdy, kr...ra,, przenigdy!
Nie przelknę ptasiego mięsa,

wolę umrzeć z głodu, kr...ra! —
załkał, cokolwiek wrzaskliwie,
kruk. — R...ratujcie mnie ludzie,
umier...ram!

— Kruku, kochany kruku,
chodź tu do nas, dostaniesz co
innego do jedzenia — uzalila
się nad ptasią niedolą Malwina.
— Masz tu doskonałą, chrupią-
cą rybkę, skosztuj, proszę cię!

— R...rybka! To co innego!
Doskonale, bar...rdzo lubię r...ry-
by! Dziękuję, Malwino. Ocaliłaś
mnie od śmier...rci głodowej. A
to takie str...raszne umier...rać
z głodu, kiedy inni jedzą! Skor...
ro jesteś tak miła, to i ja pr...
ragnę powiedzieć ci coś miłego.
O! Już wiem! Twój ojciec, kr...
ról Sobiesław, bar...rdziej mi się
podoba, niż r...ryczarz Tytan...

— No, skarbie, ty jak coś po-
wiesz, to już powiesz — zdener-
wowała się Jarucha. — Jak moż-
esz nawet porównywać dobrego
króla Sobiesława z okrutnym
Tytanem!

— Przepr...raszam, znowu po-
owiedziałem coś nie tak. Pr...rag-
nałem tylko zr...robić przyjem-
ność Malwinie — tłumaczył się
biedny kruk.

— Nie gniewaj się na niego.
Jarucho, on miał jak najlepsze
intencje. Wdzięczna mu jestem
za to. Jesteś bardzo dobrym kru-
kiem, wiesz o tym? — dodała
dziewczyna.

Gdyby nie głęboka czerń piór,
dostrzec by można było rumie-
niec radości i dumy na ptasim
obliczu. Kruk wrzasknął z u-

kontentowaniem swoje „kr...ra”
i dalej, już w milczeniu, pałaszow-
wał rybę.

Po skończonym posiłku kruk
wytarł elegancko dziób w liść
osiki i spytał Jaruchę, czy ma
dla niego jakieś rozkazy.

— Oczywiście, mój drogi, bę-
dziesz nam bardzo potrzebny,
ale dopiero jutro. Teraz musisz
odpocząć, bo czeka cię długa
droga — powiedziała Jarucha.

— Kr...ra — odpowiedział, jak
zwykle, kruk i dodał: — pr...
rawdopodobnie wiem, dokąd po-
lecę. Taki już mój los, że mu-
szę lecieć nawet tam, dokąd nie
mam najmniejszej chęci. Gdyby
tak można było znowu do kr...
róla Sobiesława — to co inne-
go, ale akurat...rat w przeciwną
str...ronę. Kr...ra!

— Kruku, kochany, powiedz
mi, jak on wygląda? — popro-
siła Malwina.

— Sama widziałas, Malwinko,
jest piękny i wspaniały — po-
wiedział kruk, myśląc zupełnie
o kimś innym.

— Przemęczyłeś się, stary, za-
czynasz pleść trzy po trzy. Idź
lepiej spać — zdenerwowała się
znowu Jarucha. — Coraz trud-
niej się z tobą dogadać, bo nie
trafiasz na temat.

— Przepr...raszam ogr...rom-
nie. Ja bar...rdzo lubię mówić,
a jak nie mam do kogo dzioba
otworzyć, to r...rozmawiam na-
wet sam ze sobą. Cała moja
kr...rucza r...rodzina jest taka!

Jeśli Malwina o coś pyta, to
przecież muszę jej odpowiedzieć!
— tłumaczył się kruk.

— On myślał, że pytam o Jas-
nego Księcia — broniła kruka
Malwina. — Kruk ma rację,
babciu. Jasny Książę jest pię-
kny i wspaniały. Pragnęłabym
bardzo, żeby moja siostra mogła
go już poznać — westchnęła
Malwina.

— Twoja siostra śni teraz o
Zielonym Księciu — powiedzia-
ła Jarucha. — A jak nie prze-
stanie zaprzętać sobie bez przer-
wy głowę snami, to zostanie w
końcu śpiącą królowną!

— Oj, babciu, babciu, żartu-
jesz sobie, a ja naprawdę mar-
twię się o nią i o ojca. Gdyby
tak już można było znaleźć się
w domu!

Na wspomnienie domu Malwi-
na znowu posmutniała i Jaru-
cha czym prędzej musiała zna-
leźć nowy wybieg, by odwrócić
jej myśli od domu rodzinnego.
Mrugnęła więc porozumiewaw-
czo na kruka, a ten — wiedząc
doskonale o co chodzi — poszy-
bował do szalasu, skąd przyniósł
w dziobie dużą mapę.

— Spójrz tutaj, moja królew-
no — powiedziała Jarucha. —
Myślę, że to, co tu zobaczysz,
na pewno cię zainteresuje. Na
tej mapie ujrzysz państwo zia i
ciemności, państwo Tytana. Tej
mapy, oprócz mnie i mojego
kruka, nikt nigdy nie widział.

(cdn.)



Rozmowy z Czytelnikami

Bardzo interesujący list przesłał do naszej Redakcji p. Jerzy B. z Cieszyna. Jednak z uwagi na szczupłość niniejszej rubryki, ograniczyć się muszę do najważniejszych, poruszonych w nim problemów. Tak więc Czytelnik ten pisze między innymi:

„Nabyłem ostatnio w kiosku Tygodnik Katolicki „Rodzina”. Przeczytawszy go dokładnie przekonałem się, że jest on nie tylko ciekawie redagowanym, ale i pożytecznym czasopismem religijnym. Zorientowałem się również, że czasopismo to wydaje Kościół polskokatolicki...

Słyszałem już kiedyś o tym Kościele. Nadal mam jednak w tym względzie wiele niejasności. Dlatego też proszę o odpowiedź na następujące pytanie: Czy to prawda, że Kościół polskokatolicki nie uznaje papieża za głowę Kościoła Powszechnego? Jeśli tak, to jakie są tego powody? Dlaczego istnieją w Polsce dwa

odrębne Kościoły katolickie: polskokatolicki i rzymskokatolicki? Czy Kościół Wasz posiada ciągłość od czasów apostołskich? Gdzie na terenie województwa bielskiego znajdują się placówki duszpasterskie Waszego Kościoła? Proszę o podanie mi adresu Waszej parafii znajdującej się najbliższej Cieszyna.

Wiadomo mi również, że Kościół katolicki organizuje Kluby Inteligencji Katolickiej. Nie wiem jednak, który — polskokatolicki czy rzymskokatolicki? Proszę o adres takiego Klubu...

Interesuję się również Pismem Św. i związanymi z tą księgą problemami. Chętnie nabyłbym sobie książki traktujące o Biblii. Czy są one do nabycia w Waszym wydawnictwie?...

Byłbym również wdzięczny, gdyby ktoś zechciał mi udzielić informacji odnośnie genezy, nauki i organizacji Kościoła polskokatolickiego”.

Szanowny Panie Jerzy! Przyjemnie nam było się dowiedzieć, że tygodnik nasz redagowany jest ciekawie. Najbardziej jednak cieszy nas fakt, że — jak to Pan sam zauważył — jest on „pożytecznym czasopismem religijnym”. To chyba jest najważniejsze. Natomiast wydawcą Tygodnika Katolickiego „Rodzina” jest Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, będący jedną z agend działającego przy naszym Kościele — Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików. Czasopismo to służy jednak Kościołowi. Jego bowiem celem jest propagowanie polskokatolicyzmu oraz pomaganie duchowieństwu w pracy duszpasterskiej i misyjnej.

Kościół polskokatolicki — podobnie, jak wszystkie inne Kościoły chrześcijańskie na świecie — nie uznaje zwierzchności

(prymatu) papieża nad całym Kościołem oraz jego nieomyślności w sprawach wiary i moralności. Człowiek bowiem nigdy nie może być zwierzchnikiem instytucji nadprzyrodzonej, jaką jest Kościół Chrystusowy. Bo według nauki apostoła Pawła, tylko „On (tj. Chrystus)... jest Głową Ciała, Kościoła” (Kol 1,18). Również przywilej, nieomyślności udzielony został całemu Kościołowi, który jest „filarem i podwaliną prawdy” (1 Tym 3,15). Ponadto obydwie „prawdy wiary” nie były znane w Kościele pierwszych wieków. Uchwalone bowiem zostały dopiero w roku 1870, podczas I Soboru Watykańskiego.

Kościół polskokatolicki, jako jeden z Kościołów lokalnych (podobnie jak Kościoły prawosławne, ewangelickie i starokatolickie), jest żywą komórką Kościoła Powszechnego, założonego przez Jezusa Chrystusa. Jest on Kościołem katolickim, gdyż wyznaje katolickie prawdy wiary zawarte w Piśmie Św. i w Tradycji apostołskiej (interpretowanej przez Ojców Kościoła, sobory ekumeniczne i własne synody ogólnopolskie), stosuje katolickie normy moralności oraz posiada katolicką hierarchię kościelną. Jest równocześnie Kościołem polskim, gdyż rozciąga opiekę religijną nad katolikami narodowości polskiej, podlega tylko polskiej zwierzchności kościelnej oraz używa w liturgii języka polskiego. Język ten wprowadzony został u nas kilkadziesiąt lat wcześniej, przed wprowadzeniem do liturgii Kościoła rzymskokatolickiego języków narodowych.

Przez „ciągłość od czasów apostołskich” rozumieć należy nieprzerwane przekazywanie pełni kapłaństwa Chrystusowego, zwane powszechnie „sukcesją aposto-

ską”, podczas udzielania sakry biskupiej. Nie podlega wątpliwości „sukcesja apostołska” biskupów Utrechtu w Holandii (piastujących godność przewodniczących Międzynarodowej Konferencji Biskupów Starokatolickich Unii Utrechckiej), której nie kwestionuje nawet Kościół rzymskokatolicki. Biskupi Utrechtu przekazali „sukcesję apostołską” zarówno biskupom Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w USA i Kandzie, jak i biskupom Kościoła polskokatolickiego w naszym kraju. Z faktu tego wynika nie tylko ważność sakramentu kapłaństwa i ofiary Mszy św., ale i pozostałych sakramentów świętych.

Na terenie województwa bielskiego parafie polskokatolickie znajdują się w Bielsku-Białej i w Libiążu-Moczydle. Najbliższą Cieszyna jest parafia pod wezwaniem Św. Anny w Bielsku-Białej przy ul. Kosmonautów 16, obok dawnego pałacu Sułkowskich.

Kluby Inteligencji Katolickiej organizowane są w większych, zazwyczaj wojewódzkich miastach, przez Kościół rzymskokatolicki. Klub taki znajduje się na pewno w Katowicach. Nie dysponujemy jednak jego adresem.

Wydawnictwo nasze nie dysponuje w tej chwili interesującymi Pana pozycjami książkowymi. Być może uda się je Panu nabyć w sklepach „Veritasu”, prowadzących również dział książki religijnych. Być może dysponuje nimi Księgarnia św. Jacka w Katowicach.

Korzystając z okazji, łączę dla Pana i wszystkich innych Czytelników pozdrowienia w Jezusie Chrystusie.

DUSZPASTERZ

GABRIEL NARUTOWICZ

dokończenie ze str. 8—9

dowych 9 grudnia 1922 roku prezydentem został wybrany Narutowicz.

Prawica oczekująca zwycięstwa swego kandydata rozpętała nie przebierającą w środkach walkę przeciw elektowi. Już w ostatniej turze głosowania posłowie endecy próbowali wywołać awanturę, by zerwać posiedzenie. Próbowali gróźb pod adresem mniejszości, zwłaszcza Żydów, usiłując zmusić ich do poparcia Zamoyskiego. Po wyborze prezydenta akcją przeniesiono na ulicę. Zebrana przed gmachem sejmu endeka młodzież akademicka i tłum zwolenników skrajnej prawicy zaczęli manifestować przeciwko Narutowiczowi. Demonstracje trwały także dnia następnego. By uniemożliwić za przysiężenie prezydenta na trasie przejazdu z Belwederu do Sejmu grupy wyrostków zatarasowały jezdnię, obrzucając Narutowicza jadącego odkrytym powozem grudkami śniegu i błota, na jezdni wznoszone barykady z ławek. Policja nie interweniowała. Dopiero wyjście bojówek robotniczych na ulicę i krwawe starcia z rozwydrzonym tłumem spowodowały interwencję służb porządkowych. Wypadkom tym towarzyszyła wyjątkowo brutalna propaganda. Twierdzono, że Narutowicz nie jest Polakiem, a wybór dokonany głosami mniejszości jest nieważny. Nie zapomniano zrobić mu zarzutu nawet z tego, co było udziałem kilku pokoleń bojowników o wolność — z życia na obczyźnie. Wytykano mu dzieciństwo wśród litewskich lasów, naukę w obcej szkole, tułaczę życie w Europie, a także dobre imię i życzliwe wspomnienia zostawione wśród cudzoziemców. Wszystko to, co składało się na szlak życia romantycznych poetów i żołnierzy niepodległości. W tej właśnie atmosferze doszło do tragedii.

19 grudnia 1922 roku żegnany przez tysięczne tłumy odbył ostatnią podróż na miejsce wiecznego spoczynku w Katedrze Warszawskiej Gabriel Narutowicz. O okolicznościach, w jakich zrodziła się ta zbrodnia pisał Julian Tuwim:

*Krzyż mieliście na piersi, a brauning w kieszeni,
Z Bogiem byliście w sojuszu, a z mordercą w pakcie,
Wy, w chichocie zastygli, bladej, przestraszeni,
Choćście, głupcy, do okien — i patrzcie! i patrzcie!
... Przez serce swe na wyłot pogrzebem przesyta,
Jak jego pierś kulami, niech widzi stolica
Twarze wasze, zbrodniarze — i niech was przywita
Straszny krzykiem milczenia żałobna ulica.*

30 grudnia 1922 roku rozpoczął się przed Sądem Okręgowym w Warszawie proces zabójcy Narutowicza, Eligiusza Niewiadomskiego. Skazany na śmierć, po odrzuceniu próby o ulaskawienie przez nowego prezydenta, Stanisława Wojciechowskiego, został Niewiadomski rozstrzelany 31 stycznia 1923 roku. Działający z moralnej i politycznej inspiracji kół nacjonalistycznych Niewiadomski powiedział po procesie: „Narutowicz jako człowiek dla mnie nie istniał. Nie widziałem go nigdy, nie znałem go, nie rozmawiałem z nim ani razu”. Niewiadomski mówił prawdę. Nie strzelał do konkretnego człowieka, ale do idei, którą on reprezentował, do idei państwa demokratycznego, będącego wspólną ojczyzną dla wszystkich obywateli bez różnicy narodowości i społecznego statusu.

Pierwotnie planował Niewiadomski zamordowanie „potwora” Piłsudskiego. Ostatecznie zdecydował się strzelać do tego, kogo uważał za jego marionetkę. Zabójstwo prezydenta bynajmniej nie ochłodziło nastrojów. Gdy zabójca został stracony, zaczęto szerczyć kult jego osoby. Przybrał on w niektórych kręgach tak powszechny charakter, że sejm powziął specjalną uchwałę przeciwko sławieniu mordercy. Przyjęto ją przewaga ledwie 15 głosów...

Po 65 latach tamte tragiczne wydarzenia nabrały innego, historycznego wymiaru. Czas stępił emocje. Ale przypomnieniu sylwetki pierwszego prezydenta odrodzonej Polski winna towarzyszyć także głębsza refleksja racjonalna i moralna o najpodlejszych czynach, jakie można popełnić w imię najpiękniejszych ideałów, jeśli te za trute zostaną jadem nietolerancji, nienawiści, pogardy dla innych.

ANDRZEJ DERELKOWSKI

pojęcie o rozkoszach początkującego komediopisarza, który w dodatku nie umie używać do swoich sztuk patronów...

Zamilkli. Deszcz padał nieustannie i tworzył już po drodze kałuże wody.

Głogowski spoglądał posepnie na miasto, rysujące się wieżami na zamglonym horyzoncie.

— Podłe miasto! — mruknął gniewnie. — Od trzech lat nie mogę go wziąć... Walczę, zabijam się... i pies mnie nie zna!

— Jak im pan będzie mówić, że są podli i głupi, to tym ich pan nigdy chyba nie zdobędzie...

— Zdobędę. Nie będą mnie kochać, ale liczyć się z mną muszą, musza, niech zdechnę!... Najłatwiej to brać takie twierdze aktorom, śpiewakom i tancerkom; zdobywa się jednym występem wszystko.

— Ale na jeden dzień. Po zejściu ze sceny nie zostawia się śladu po sobie, jak kamień w wodę! — mówiła Janka z pewną goryczą, wpatrując się w coraz bliższe, stłoczone mury Warszawy.

W tej chwili dopiero pomyślała, że ta sława, o której marzy, jest tylko sławą jednodniową.

— Mnie się zdaje, że ma pani apetyt na to samo danie?

— Mam! — odpowiedziała mocno i głos jej rozdzwiewał niby wybuch długo potęgowany.

— Mam! — powtórzyła, ale już znacznie ciszej i bez zapalu. Oczy jej przygasły i błędziły po tych szczytach nic nie rozumiejąc, bo ją nękała myśl tej sławy jednodniowej, bo sobie przypomniała te uszłe wieńce Cabińskiej, dawną sławę Stanisławskiego, bo myślała z coraz większą goryczą o tych tysiącach sławnych aktorów, którzy byli, pomarli i nikt nie zna nawet ich imienia. Czuła, że ma jakiś przykry zamęt w sercu. Oparła się silniej na Głogowskim i szła nie odzywając się ani słowem.

Na ulicy Zakroczymskiej wsiedli do dorożki; wskoczył do nich Kotlicki na trzeciego.

Janka spojrzała na niego z gniewem, ale udawał, że tego nie widzi, i patrzył na nią z tym swoim wiecznym uśmiechem. Odwieźli ją do mieszkania. Miała tylko tyle czasu, żeby wpaść do domu, przebrać się, zabrać potrzebne rzeczy i natychmiast jechać do teatru.

Z powodu deszczu kilka chórzystek także się spóźniło.

Cabiński, zirytowany spodziewanymi z powodu deszczu pustkami w teatrze, biegał po scenie i krzychał do wchodzących:

— Panienci się gzą... Po ósmej i jeszcze żadna nie ubrana!

— Byłyśmy na nieszpórach w kościele świętego Karola Boromeusza — tłumaczyła się Zielińska.

— Nie mnie brać na nieszpory! a jakże!... Pilnować tego, z czego jest chleb!

— Ogromnie dużo go dyrektor daje! — odcięła się ze złością Ludka, bo sobie przy wejściu złamała parasolkę.

— Nie dają?... a z czegoż życie?

— Z czego?... przecież nie z tej głupiej, obiecanej tylko gaży.

— O! i pani się spóźniła?! — zawołał do wchodzącej Janki.

— Gram dopiero w trzecim akcie, mam jeszcze dosyć czasu...

— Wicek! leć po Rosińską... Gdzie jest Zośka? Zaczynać przedzej!... a niech was psy gryzą!

Spojrzał przez dziurkę w kurtynie.

— W teatrze pełno, jak Boga Kocham, a w garderobach nikogo... potem krzyczą, że nie płacę! Panowie, na litość boską, ubrać się i zaczynać!

— Zaraz, skończymy bank.

Kilkunastu porozbieranych aktorów, w połowie nawet pocharakteryzowanych, ciągnęło małego sztosika. Jeden tylko Stanisławski siedział w kącie garderoby przed kawałkiem lusterka i „robił twarz”.

Już trzeci raz ścierał sobie szminki ściereczką i charakteryzował się na nowo; gimnastykował usta, ściągał brwi gniewnie, marszczył czoło, rzucał najrozmaitsze spojrzenia; robił charakter i mrucał półgłosem przy każdej zmianie fizjonomii odpowiednie ustępy roli, rzucając tylko czasami w stronę grających dziesiątkę i dwa słowa;

— Czwórka! dziesiątka.

— Publiku awanturę robi! Czas dzwonić i zaczynać — błagał Cabiński.

— Nie przeszkadzaj dyrektor. Niech czekają... Dycha, oczko... sy-pać!

— Walet! złocisz!

— Damusia w kierusiach... pięć dydków!

— Gotowe! Postaw dyrektor na Desdemone.

Stasował, zebrał, zapieczętował, trzepnął i zawołał:

— Gotowe! Postaw dyrektor.

— Zdradzi! — syknął Cabiński rzucając monetę srebrną na kartę.

— A tak, to cię nie zdradza?

— Dzwonić! — krzychał Cabiński na inspicjenta usłyszawszy w sali tupot.

Przez chwilę nie było nic słyhać prócz szelestu kart, z błyskawiczną szybkością spadających na stół.

POZIOMO: A-1) msza odprawiana w noc Bożego Narodzenia, B-8) kąpielisko nadbałtyckie w woj. koszalińskim, C-1) strunowy instrument muzyczny, D-8) najstarszy w jakimś gronie, E-1) wielka pustynia w Chile, F-7) skrytka, H-1) rysunek krzyżówki, I-7) między aktami przedstawienia teatralnego, K-1) wdziek, powab, L-6) do nadawania filmów na szklanym ekranie, M-1) list tchórze, N-6) artysta cyrkowy.

PIONOWO: 1-A) osoba w utworze literackim, 1-H) niepodważalna zasada wiary, 3-A) wskazuje kierunek, 4-K) Zn, 5-A) moralność, 5-G) nóż pluga, 6-K) zakopiańska willa Karola Szymanowskiego, 7-E) dychawica, 8-A) modlitewna kropka, 9-D) leśny interlokutor, 9-I) rodzaj lustra, 10-A) podróż wodna, 11-F) śpiewanie na samogłosce (bez tekstu), 13-A) port w Libii, pamiętny z walk Polaków w 1941 r., 13-H) część wiersza.

Po rozwiązaniu należy odczytać szyfr (przysłowie ludowe): (M-2, K-3, A-1, G-9, M-9, M-5, B-12, H-6, F-1) (H-1, N-8, E-13, K-1, B-9, C-7, F-9) (L-12, E-7, C-10, F-3, N-13, E-9, D-8, H-2, F-12, K-5).

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 51”. Do rozlosowania: nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 42

„Gdzie ochota, tam robota” (ludowe).

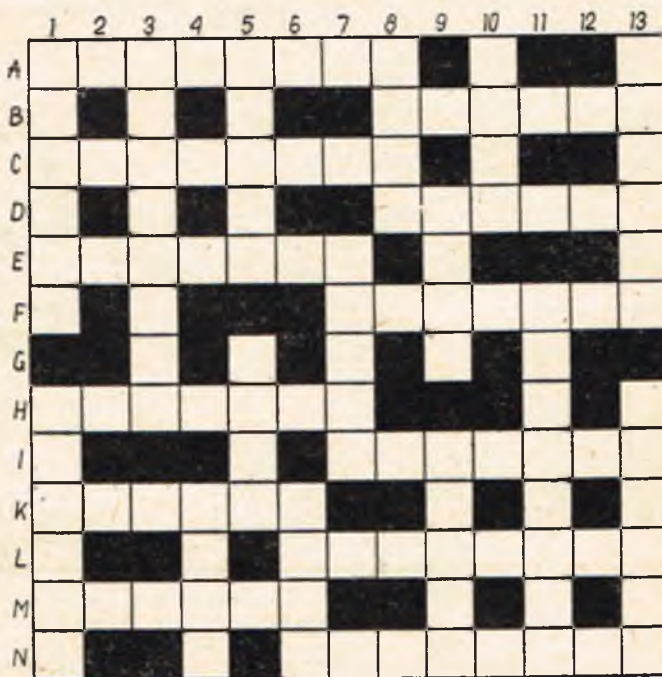
POZIOMO: internet, rogoża, imitacja, narwał, doradca, marabut, Trabant, Irawadi, korpus, parafina, Rimini, szatynka.

PIONOWO: Iliada, tokarz, twierdza, plik, Roald, tabu, spis, Amati, tran, Akra, ogar, batalion, Hamlet, Ticana.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 42 nagrody wylosowali: Cecylia Matusiak z Kutna i Piotr Michulka z Gdańska.

Nagrody prześlemy pocztą.

KRZYŻÓWKI nr 51



rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. J. Dąbrowskiego 60, 02-561 Warszawa. Telefon redakcji: 45-04-04, 48-11-20; administracji: 45-54-93. Wpłat na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnie 260 zł, półrocznie 520 zł, rocznie 1040 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych - instytucji i zakładów pracy - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych - indywidualnych prenumeratorem: - osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; - osoby fizyczne zamieszkałe w miastach - siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-20145-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: - od dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; - do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie sprawę skracania materiałów nie zamówionych. Druk PZGraf. Smolna 10/12. Nakład 25 000. Zam. 674. K-78.

KOMEDIANTKA

— Niechże pan skończy... proszę pana o to...
— Ma pani rybio-gęsie instynkta. Ciekawa rzecz, z czego się to rozwinęło w pani?...

Janka uśmiechnęła się, bo przypomniawszy sobie dawne wycieczki swoje jesienne lub zimowe w największe burze i nawałnice, i odpowiedziała wesoło:

— Lubię takie rzeczy. Jestem przyzwyczajona od dziecka znosić deszcze i niepogody... przepadam po prostu za każdą burzą.

— Ognista krew, coś atawistycznego, fantazja itd.

— Tylko przyzwyczajenie lub potrzeba wewnętrzna, która się rozrosła do stopnia namiętności.

Głogowski podał ramię Jance; przyjęła i opowiadała mu w swobodnym, przyjacielskim tonie różne przygody swoich wycieczek. Czuli się z nim tak swobodni, jakby go znała od dziecka. Chwilami nawet nie pamiętała, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Ujmował ją pogodną twarzą i tą trochę dziką szczerością charakteru; przeczuwała w nim jakąś bratnią i uczciwą duszę.

Głogowski słuchał jej, odpowiadał i patrzył się na nią ciekawie; wreszcie, upatrzawszy stosowną chwilę rzekł szczerze:

— Niech zdechnę, ale z pani ciekawa niewiasta... bardzo ciekawa! Coś powiem; w tej chwili mi błysła myśl i podaję ją natychmiast, na gorąco, niech się pani tylko nie wyda dziwną. Nie cierpię konwenansów, obłudy towarzyskiej, minoderii aktorek itp., licząc do dwudziestu!... a właściwie nie widzę jeszcze tego w pani... Oho! zaraz zobaczyłem, że pani tego wcale nie masz w sobie. Pani mi się wprost podobasz jako pewien, dosyć rzadko spotykany typ. Ciekawe, ciekawe! — mówił prawie do siebie. — Moglibyśmy zostać przyja-

ciółmi! — zawołał uradowany wypowiadając głośno swoją myśl. — Bo chociaż baby zawsze mnie zawiodą, gdyż prędzej czy później z każdej wylizie samyczka, ale nowy eksperyment byłby może co wart...

— Otwartość za otwartością — mówiła śmiejąc się z jego błyskawiczności, z jaką postanawiał — pan także jesteś ciekawym okazem

— No, więc zgoda!... podajmy sobie ręce i bądźmy przyjaciółmi — zawołał wyciągając rękę.

— Nie skończyłam jeszcze: otóż ja w zupełności obywam się bepowiernic i przyjaciół; to czuć sentymentalnością i nie jest bardzo bezpieczne.

— Gadanie! Przyjaźń jest więcej warta od miłości... Zaczyna, widać, lać nie na żarty! To psy płaczą nad odrzuconą przyjaźnią. J panią będę spotykać, prawda? bo pani masz w sobie coś, coś... jakby kawałek duszy jakiejś, rzadko spotykanej.

— W teatrze bywam codziennie na próbach i prawie codziennie na przedstawieniach...

— Niech zdechnę, ale to na nic!... Gdybym przez tydzień asystował pani, to powstałoby tyle plotek, gadań, przypuszczeń itd., licząc aż do dwudziestu!

— A cóż mnie obchodzi, co mówią o mnie! — zaśmiała się swobodnie.

— Ho, ho, rodem kurki czubate. Lubię to, kiedy człowiek nie robi sobie ceregieli z tym łańcem, nazywającym się opinią publiczną.

— Myślę, że skoro nie mam sobie nic do wyrzucenia, to spokojnie mogę patrzeć i słuchać tego, co mówią o mnie.

— Pycha, jak Boga kocham, kapitalna pycha!

— Czemu pan swojej sztuki nie wystawia w warszawskim teatrze?

— Bo jej nie chcieli wystawić. To, widzi pani, jest zakład ogromnie wyperfumowany, elegancki i tylko dla delikatnej, dla bardzo subtelnie czującej publiczności*; a moja sztuka wcale nie pachnie salonem; co najwyżej czuć ją polem, trochę lasem, nieco chałupniczką. Tam trzeba nie prawdy tylko flirtu, konwensu, błag itd., licząc aż do dwudziestu. Zresztą, nie miałem protekcji i oni mają już swoich, patentowanych fabrykantów sztuk.

— A ja myślałam, że to dosyć napisać rzecz dobrą, aby ją natychmiast grali.

— Boże mój!... niech zdechnę, o ile jest inaczej. Niech pani uważa ile ja znieść muszę, nim taki Cabiński wystawi sztukę!... Teraz niech pani podniesie do kwadratu, a dopiero mieć pani będzie jakie taki

Wprowadzić do Bożego Narodzenia pozostało jeszcze trochę czasu, ale nie aż tak wiele, by podanie kilku przepisów na potrawy wigilijne było przedwczesne. Poza tym z przepisami zwykle trzeba się „oswoić”, zanim przystąpimy do ich praktycznego wykorzystania. Dziś podajemy zatem — mając na uwadze święta — kilka przepisów na wigilijne przysmaki, które jako pamiętające „kuchnię babuni” tym bardziej zasługują na przypomnienie i... spróbowanie.

ZUPY WIGILIJNE

Barszcz. 1,5 kg buraków, włoszczyzna bez kapusty włoskiej, 10 dkg suszonych grzybów, pieprz, ziele angielskie, liść laurowy.

Najlepszy barszcz przyrządza się na kwasie buraczanym, który otrzymujemy w ten sposób, że dobrze umyte, obrane i pokrojone w plastry buraki układamy w słoju, a następnie zalewamy przegotowaną letnią wodą do poziomu przekraczającego warstwę buraków. Na wierzch kładziemy kromkę razowego chleba, by przyspieszyć proces zakwaszenia. Słój zakręcamy, owijujemy gażą i pozostawiamy na okres czterech dni. Po tym czasie ostrożnie zbieramy z powierzchni wody pianę, a zawartość słoja przelewamy do mniejszych słoików (najlepiej typu „Twist”), zakręcamy szczelnie i w zależności od potrzeb przechowujemy w chłodnym miejscu do momentu wykorzystania. (Słoje mogą stać nawet kilka tygodni).

W dniu przygotowywania barszczu gotujemy najpierw wywar z grzybów i jarzyn. Gdy jarzyny będą miękkie przecedzamy wywar i dodajemy odpowiednią ilość kwasu buraczanego, mniej więcej w proporcji na 1 litr wywaru — 1/2 litra kwasu. Uzyskany w ten sposób barszcz doprawiamy nie-



Kącik kulinarny

Dania wigilijne

wielką ilością cukru, soli, utartym ząbkem czosnku i odrobiną kwasu cytrynowego lub sokiem z cytryny, nigdy octem.

Barszcz podajemy czysty — bez śmietany. Tradycyjnie z uszkami z suszonych grzybów. (Będzie o nich mowa w dalszej części naszego „kącika”).

Zupa grzybowa (wigilijna). 10 dkg grzybów suszonych, włoszczyzna bez kapusty, pieprz, sól.

Dobrze umyte grzyby zalewamy 1 1/2 l. wody. Moczymy aż staną się miękkie. Następnego dnia dodajemy do grzybów (wywaru) włoszczyznę, pieprz w ziarnach i gotujemy około 40 minut. Po ugotowaniu przecedzamy wszystko przez sito, solimy do smaku, dodajemy pokrajane w paseczki grzyby.

Podobnie jak barszcz wigilijny i tę zupę podajemy czystą — najlepiej z łazaniami.

Zupa migdałowa (wigilijna). 15 dkg słodkich migdałów, 1 1/2 litra mleka, 10—15 dkg cukru, 10 dkg ryżu, 2 dkg masła.

Migdały umyć, sparzyć, obrać ze skórki, przepuścić przez maszynkę i zalać wrzącym mlekiem. Zagotować wszystko na wolnym ogniu ciągle mieszając. Osłodzić do smaku.

Ryż ugotować na sypko. Odcedzić, osączyć. Wyłożyć do wazy w ilości jedna łyżka na osobę i zalać gorącym mlekiem migdałowym. Przed podaniem można zupę zaprawić surowym żółtkiem. Można też dodać kilka umytych i namoczonych w mleku rodzynków.

DODATKI DO ZUP WIGILIJNYCH

Uszka z grzybami. Ugotowane w wywarze jarzynowym grzyby w ilości 10—15 dkg, cebula, pieprz, sól, oliwa lub masło do przesmażenia. Ciasto: 1 szklanka mąki, 1 jajko, łyżeczka oliwy lub masła, szczypta soli.

Cebulę pokrajać w kostkę, usmażyć na jasnożółty kolor. Grzyby przekręcić przez maszynkę do mięsa. Dodać łyżkę tartej bułki, sól, pieprz, 1 białko z jajka.

Z mąki, jajka, łyżeczki oliwy (lub z dodatkiem masła i wody) zagnieść ciasto konsystencji jak na pierogi. Rozwałkować cienko, pokrajać na kwadraty (3—4 cm) wypełnić farszem, złożyć po przekątnej, zlepować brzegami.

Ugotować w lekko osolonej wodzie. Wybierać łyżką cedzakową. Wkładać do wazy z gorącym barszczem, licząc przeciętnie po 8—10 uszek na osobę.

(W numerze następnym podamy kolejne przepisy na potrawy wigilijne).